

ZYCIE

Jan



ROK X — NR 52/53 (496/497)

LONDYN, NIEDZIELE, 23 - 30 GRUDNIA 1956 R.

CENA NUMERU: szyl. 2/-; dol. 0.40; fr. fr. 100; fr. belg. 14; fr. szw. 1.20; kr. szw. 1.60; lirów 180; D.M. 1.20.

W krajach Ameryki Południowej — równowartość S 0.40.



CIESZMY SIĘ Z NOWINY ŻŁÓBKA

N a p i s a ł

KS. DR WALERY JASIŃSKI

Cieszymy się z Bożego Narodzenia, z tego, że Słowo, odwieczny Syn Boży, stał się Ciałem i mieszkał między nami, abysmy uczestniczyć mogli w Jego chwale!

Przed żłóbką zapomnijmy o sobie, o swoich kłopotach i trudnościach. Wpatrujmy się w Bożą Dziecinę, w Matkę Najświętszą i w świętego Józefa. Wchłaniajmy w serca nasze tę jasność, tę mądrość i piękność, tę miłość i radość Bożą, które promieniują ze żłóbka. Poddajmy pokornie dusze działaniu tego słońca Bożego, bez którego serca nasze są podobne do zmarzniętej ziemi. Jak pożłobienia godni są ludzie, którzy się męczą w ciemnościach ciasnego samolubstwa i w smutkach ciągłego myślenia o sobie samych, a nie wychodzą na słońce Boże.

Cieszymy się z nowiny żłóbka, tak radosnej dla wszystkich stworzeń, bo głosi ona, że Stwórca ich kocha je tak, iż nawet Syna Swojego dla nich przysłał na świat, aby ludzie mogli uczestniczyć w Bożej chwale!

Cieszymy się z nowiny żłóbka, tak radosnej dla grzeszników, jako że mówi im ona, że Bóg wszechmocny jest nie tylko sprawiedliwym Sędzią, ale także pełnym miłosierdzia dla tych, którzy z serdeczną skruchą chcą wrócić do domu Ojca! Dla grzeszników właśnie Syn Boży stał się Zbawicielem!

Cieszymy się z nowiny żłóbka, tak radosnej dla wszystkich dzieci, bo znaczy ona, że dziecko jest czymś tak cennym, że Syn Boży stał się dzieckiem!

Cieszymy się z nowiny żłóbka, tak radosnej dla niewiast, bo Syn Boży przez specjalny cud Ducha Świętego został poczęty w łonie Najświętszej Dziewicy i karmiony i pielęgnowany przez Matkę Najświętszą, aby podkreślić godność niewiasty i jej rolę w dziele Odkupienia.

Cieszymy się z nowiny żłóbka, tak radosnej dla mężczyzn, bo Syn Boży stał się mężczyzną i chciał być otoczony ojcowską opieką dziewiczego męża Matki Bożej dla podkreślenia duchowej i nadprzyrodzonej godności męża i ojca, bez której to godności o chrześcijańskim małżeństwie mowy nie ma!

Cieszymy się z nowiny żłóbka, tak radosnej dla rodzin, bo Odkupiciel świata chciał się narodzić i być wychowanym w łonie Świętej Rodziny, aby zwrócić uwagę na ważność rodziny w dziele zbawienia rodzaju ludzkiego.

Cieszymy się z nowiny żłóbka, tak radosnej dla ludzi prostych, bo Zbawiciel świata przez nich pierwszych chciał być powitany.

Cieszymy się z nowiny żłóbka, tak radosnej dla teologów i wszystkich ludzi głęboko my-

ślących, bo niepojęta Mądrość Boża stała się widzialną i przyniosła nam najpiękniejsze i najradośniejsze tajemnice życia wewnętrznego Bożego, od którego pochodzi wszelka mądrość i wiedza ludzka!

Cieszymy się z nowiny żłóbka, tak radosnej dla wszystkich czasów i narodów, bo ona jest tak jasna i tak silna, że przez ciemności wieków i odległość kontynentów promieniuje, tak iż do nas dotarła i dotrze do wszystkich narodów do końca świata.

Niech ta mądrość, piękność, miłość i szczęśliwość Bożego Narodzenia napelni serca nasze, a niech nic ziemskiego lub ludzkiego nie przeszkodzi działalności Bożej w naszych sercach!

Ponadto my, synowie i córki narodu polskiego, rozrzućmy po całej kuli ziemskiej, mamy szczególną rację przejmować się radosną nowiną żłóbka tak mocno, aby przez nas promieniowała ona na otoczenie niekatolickie i niepolskie, w którym Opatrzność chciała, abysmy spełniali wolę Bożą.

Przecież nie przypadkiem prowadził nas

Prymasowi Polski,
J. Em. Ks. Kardynałowi
Stefanowi Wyszyńskiemu,
Episkopatowi Polskiemu,
Duchowienstwu

i Braciom w Kraju,
Opiekunowi Uchodźstwa Polskiego,
J. E. Ks. Arcybiskupowi J. Gawlinie,

Ks. Infułatowi B. Michalskiemu,
Ks. Prałatowi W. Staniszwowskiemu,
Duszpasterzom polskim

z Księżmi Rektorami na czele,
wszystkim Rodakom na wychodźstwie,
a wśród nich naszym wszystkim

Przyjaciółom i Czytelnikom
w okresie Świąt
Bożego Narodzenia
najlepsze życzenia
święteczne i noworoczne

przesyła

Wydawnictwo i Redakcja

ZYCIA

Bóg po całym świecie, jak nie przypadkiem Apostołowie zostali rozrzućmy po całym świecie, jak też nie przypadkiem się to dzieje, że huragan roznosi nasienia daleko od drzewa.

Gdy Pan Bóg rozrzucił nas po całej kuli ziemskiej, to na pewno uczynił to nie dlatego, abysmy się bez śladu utopili w codziennych kłopotach życia albo w wirze gonienia za zarobkiem lub przyjemnościami w krajach dalekich od ojczyzny polskiej, ani abysmy się udusili w ciemnościach niekatolickiego lub nawet pogańskiego otoczenia albo w smutkach samolubstwa. Opatrzność na pewno nie chciała, abysmy się stali „solą zwietrzałą” w życiu państwowym i kościelnym naszego otoczenia, ani abysmy byli „drzewem nieurodzajnym” w życiu obywatelskim lub parafialnym, ani abysmy byli lampą tylko „kopcającą” w życiu kulturalno - umysłowym społeczeństwa, wśród którego żyjemy.

Bóg chce, abysmy byli „światłością” tam, gdzie panują ciemności błędu lub niezrozumienia spraw katolickich i polskich; — abysmy byli „solą”, która chroni przed wszelkim zepsuciem w życiu małżeńskim, rodzinnym, politycznym, międzynarodowym i kościelnym; — abysmy byli „kwasem” ewangelicznym, tam, gdzie panuje jałowość w myśleniu, mówieniu i działaniu społecznym, organizacyjnym, parafialnym i kulturalnym.

Niech otoczenie nasze, czy katolickie czy niekatolickie, czy polskie czy niepolskie od nas się uczy bogactwa i piękna duchowego i chrześcijańskiego naszych tradycji polskich i katolickich!

Niech otoczenie, sekularyzmem neopogańskim przeżarte, przykładem naszej dobrej spowiedzi świętej i Komunii świętej w czasie świąt oraz naszego dzielenia się oplatkiem, uczy się, jak po chrześcijańsku się obchodzi Boże Narodzenie. Dodajmy, że za to każdy z nas jest osobiście odpowiedzialny wobec Stwórcy, który stworzył wszechświat z jego mgławicami i nas do bytu powołał na małej naszej ziemi, ponadto wobec Boskiego Zbawiciela, który chce, abysmy Mu pomagali szerzyć błogosławieństwo Odkupienia, a wreszcie wobec Boskiego Sędziego na końcu świata, który oprze Swoją wyrok sprawiedliwy na tym, czy i jak promieniowaliśmy chrześcijańską mądrością, miłością i sprawiedliwością na nasze otoczenie!

Ks. Walery J. Jasiński
(Orchard Lake, USA)



LUDZIE NA ŚWIECIE...

Ludzie na świecie! Cóż to za Zboże,
że aż od Niego jasno w oborze?!

Cóż to za Omłot? Cóż to za Ziarno?
Jakby kto słońca w szopę nagarnął...

Komu cud taki zmieści się w głowie?
Bóg w żłób się światu sypnął jak owies,

na chleb i życie, pokój i dobro,
Samego Siebie wydał na obrok!

Beata Obertyńska

O WOLNOŚĆ I SPRAWIEDLIWOŚĆ DLA UCIŚNIONYCH

PRZEMÓWIENIE RADIOWE PIUSA XII Z 10 LISTOPADA 1956

W numerze 48(492) ZYCIA pojaliliśmy streszczenie przemówienia Papieża przez radio w dniu 10 listopada. Obecnie dajemy przekład całego tekstu, aby to jedno z najważniejszych w tym roku przemówień papieskich mogło być rozważone w całości przez Czytelników.

RED.

Do ugręki Naszego ojcowskiego Serca z powodu niegodziwości doprowadzających do zrujnowania ukochany naród węgierski, który tym zawinił, że chciał poszanowania fundamentalnych praw ludzkich, dołącza się obawa o zagrożony pokój i ból patrzenia na przerezedzone szeregi tych, na których autorytecie, zjednoczeniu i dobrej woli zdawało się, że można polegać w dużej mierze w dążeniu do stopniowego przywrócenia zgody między narodami, opartej na sprawiedliwości i prawdziwej wolności.

Któż mógłby zaprzeczyć, że sprawy pokoju i słusznej wolności w pożałowania godny sposób cofnęły się wstecz, pociągając za sobą w cień nadzieje z trudem powołane na nowo do życia i którym liczne dowody dawały trwałą podstawę?

Zbyt wiele krwi zostało niesprawiedliwie przelanej! Zbyt wiele żaloby i zniszczenia powstało znów niespodziewanie. Delikatna nieufność, która zaczęła łączyć na nowo narody podtrzymując nieco umysły, okazuje się rozdartą; podejrzliwość i nieufność wykopały jeszcze głębszą przepaść rozdziału. Cały świat został naprawdę zaskoczony zbyt pociągającym uciekaniem się do siły, po tysiącokroć i przez wszystkich wykłętą jako środek wyrównywania przeciwności i zapewniania tryumfu prawa.

Nie ma wątpliwości, że świat z paroksyzmu tych dni gwałtu wyszedł zdezorientowany i zachwiany w zaufaniu, bo był świadkiem odnowienia się tej polityki, która, w różny sposób, przedkłada samowolę jednej strony i interesy ekonomiczne nad życie ludzkie i wartości moralne.

Wobec takiej zraty sprawiedliwości i braterskiej miłości, wobec wijącego się jak zdradliwy wąż sceptycyzmu ludzi w stosunku do przyszłości, wobec powiększającej się niezgody umysłów, My, którzy mamy od Boga mandat popierania dobra wszystkich narodów i którzy mocno przekonani jesteśmy, że pokój nie jest czczym snem, lecz obowiązkiem do zrealizowania przez wszystkich — aby przyczynić się do ocalenia go w nim samym i w czynnikach, na jakich się opiera — pragniemy zwrócić się do narodów z płynącym z udęczenia wołaniem: odnowmy drogi pokoju, wzmocnijmy na nowo zjednoczenie tych, którzy go pragną, przywróćmy zaufanie tym, którzy je stracili!

Dlatego zwracamy się przede wszystkim do was, ukochane narody, mężczyźni i niewiasty, intelektualści, robotnicy, rzemieślnicy i rolnicy, jakiegokolwiek pochodzenia i kraju, abyście dali poznać swoim władcom, jakie są wasze najgłębsze przekonania i wasze prawdziwe aspiracje. Ostatnie wydarzenia stwierdziły, że narody, rodziny i jednostki cenią wyżej spokój w pracy i rodzinie niż wszelkie inne najbardziej upragnione bogactwa. Są gotowi wyrzec się ich, jeśli one byłyby ceną uniknięcia tyranii i ryzyka wojny z jej kon-

sekwencjami, ruiną, żalobą, więzieniem i śmiercią. W imię religii, kultury i słusznego uczucia ludzkiego: dość już nieprawnych i brutalnych represyj, zamysłów wojenności, walk o hegemonię między państwami, tego wszystkiego, co zmienia życie ziemskie w otchłań zaburzeń i terroru, zatrzuwa ducha, niweczy owoce pracy i postępu.

To co jest głosem natury, winno być przez każdy naród proklamowane głośno na wewnątrz i na zewnątrz i winno dotrzeć do uszu i być przyjęte przez tych, którym narody zawierzyły władzę. Jeśli władza publiczna, w tym co do niej należy, nie dążyła do zabezpieczenia co najmniej życia, wolności, spokoju obywateli, a udawałoby się jej pomyślnie osiągnąć wszystko inne, doprowadziłaby jednak do bankructwa w samej istocie swego celu.

Ale ponad wszelką inną zmore cięży na umysłach znaczenie smutnych wydarzeń węgierskich. Powszechne spontaniczne poruszenie świata, którego nie zmniejsza uwaga zwrócona na inne poważne wydarzenia, wykazuje, jak bardzo koniecznym i niecierpiącym zwłoki jest przywrócenie wolności narodom, które jej zostały pozbawione. Czy może świat nie zainteresować się tymi braćmi, pozostawiając ich losowi poniżającej niewoli? Z całą pewnością sumienie chrześcijańskie nie może zrzucić z siebie moralnego obowiązku zastanowienia każdego godziwego środka, ażeby została przywrócona ich godność i odzyskana wolność.

Nie ukrywamy sami przed sobą, jak obecnie bardzo są powikłane stosunki między narodami i między grupami kontynentalnymi, jakie je obejmują. Ale niechże słucha się głosu sumienia, kultury, braterstwa, niechże słucha się głosu samego Boga, Stwórcy i Ojca wszystkich, szacując, nawet za cenę wielkiej

ofiary, każdy inny problem i jakikolwiek partykularny interes niż sprawę pierwszorzędną i zasadniczą milionów żyć ludzkich poniżonych do stanu niewoli.

Niech powróci się jak najprędzej do wzmocnienia na nowo szeregow i do związania trwałym publicznym układem tych wszystkich — rządów i narodów — które chcą, by świat szedł drogą honoru i godności dzieci Bożych; układem, który byłby także w stanie bronic skutecznie swoich członków przed każdym niesprawiedliwym napadem na ich prawa i ich niepodległość. Nie będzie winą szlachetnych, jeśli dla tego, kto oddali się od tej drogi, pozostanie jedyne pustynia odosobnienia. Może stanie się, i tego życzymy sobie z całego serca, że zwartosc narodów, szczerze kochających pokój i wolność, wystarczy do skłonięcia bardziej łagodnymi radami tych, którzy wylamują się spod elementarnych praw współzycia ludzkiego i którzy przez to sami pozbawiają się prawa przemawiania w imię ludzkości, sprawiedliwości i pokoju. Przede wszystkim ich narody nie będą mogły nie odczuwać potrzeby powrotu do wzięcia udziału w rodzinie rodzaju ludzkiego, by cieszyć się jej honorem i korzyściami. Wszystkie więc zjednoczone dla wolności i pokoju, wyukochane narody wschodu i zachodu, członkowie wspólnej rodziny ludzkiej! Pokój, wolność! Już same te słowa drzeniem napawające nie pozwalają na używanie ich w sposób dwuznaczny. Powróciły one do ich pierwotnego i promiennego znaczenia, jak Myśmy je zawsze rozumieli, wywodzącego się z zasad natury i wyraźnej woli Stwórcy. Powtarzajcie je, głoście je, wprowadzajcie je w czyn. Wasi władcy niech będą wiernymi wyrazicielami waszych prawdziwych przekonań, waszych prawdziwych dążeń. Bóg wam dopomoże, Bóg będzie waszą mocą.

Bóg! Bóg! Bóg!

Niech to nie dające się wystowić Imię, źródło wszelkiego prawa, sprawiedliwości i wolności, rozbrzmiewa na nowo w parlamentach i na placach, w domach i warsztatach, na ustach intelektualistów i robotników, w prasie i w radio. Imię B-ga, jako synonim pokoju i wolności, niech będzie sztandarem ludzi dobrej woli, łącznikiem ludów i narodów, znakiem, po którym poznawać się będą bracia i współpracownicy w dziele wspólnego ocalenia. Niech Bóg was otrzęśnie z cęretwiania, niech was oddzieli od wszelkiego współnictwa z tyranami i poplecznikami wojen, niech oświeci wasze sumienia i wzmocni wolę w pracy nad odbudową.

Jako wołanie najgłębsze do Pana niech Jego Imię rozlega się przede wszystkim w świątyniach i w sercach, ażeby On swą nieskończoną mocą pomógł do dokonania tego, co słabe siły ludzkie z tak wielką trudnością starają się osiągnąć.

Z tą modlitwą, którą My pierwsi wnosimy do Jego tronu miłosierdzia, żegnamy się z wami, ukochane dzieci, pełni ufności, że pogoda rozbliśnie na nowo nad światem i nad pochylonymi w pokorze czołami i pokój, doświadczony tak poważnymi próbami, wyłoni się z nich bardziej jasny, bardziej trwały, bardziej sprawiedliwy.

ŻYCZENIA PRYMASA POLSKI

Ksiądz Prymas Kardynał Wyszyński przesłał na ręce Światowego Związku Polaków z Zagranicy następujące życzenia świąteczne dla Polaków zagranicą:

WIELKIEJ KROLOWEJ ŚWIATA
DZIEWICY MATCE ODDAJĘ POD
OPIEKĘ DZIECI POLSKI, GDZIE-
KOLWIEK PRZEBYWAJĄ, WSZYST-
KIM SKŁADAJĄC ŻYCZENIA, BY
NARODZENIE CHRYSYTA UWE-
SELIŁO CAŁY ŚWIAT I WSZYSTKIE
SERCA.

BŁOGOSŁAWI

Stefan Kardynał Wyszyński
Prymas Polski"



rys. A. WASILEWSKI

DANIEL ROPS

„GDY JEDEN ŚWIAT SIĘ WALI...”

Dokładnie 1506 lat temu umierała zachodnia Europa. 1) Rok 451 zapisał w historii jedno z najgorszych wydarzeń tego dramatu dziejowego: straszliwy najazd na bogate niziny Galii genialnego wodza, którego imię stało się synonimem postrachu: Atylli, króla Hunów. Z końcem maja wsie spustoszone, zajęte miasta ledwo dyszały wśród cierpień i przerażenia. Jedyne mury Orleanu, broniące przez św. Eniana (Aignan), stanowiły ostatni wał powstrzymujący zalew mongolski. Cywilizowani ludzie Zachodu czuli, że zamiera w nich wszelka nadzieja.

W rzeczywistości zaś ten widowiskowy raid był tylko jednym z epizodów długiej już tragedii, w której świat starożytny powoli pogrążał się w przepaść. Od owej bowiem nocy zimowej, gdy 31 grudnia 406 roku plemiona Wandalów, Swewów, Alanów przekroczyły Ren i rozbiły sprzymierzeńców frankońskich, nie było wcale roku, w którym by nie widzia-

no oddziałów długozębnych barbarzyńców rzucających się do ataku na urodzajne ziemie. Wprawdzie dzięki rozumnej woli kilku mężów, dawniejsi — cywilizowani i nowoprzybyli — potrafili się zjednoczyć w połowie stulecia, by uczynić wspólny front przeciw Azji w marszu, lecz natychmiast po zwycięstwie nad najeźdźcami na Polach Katalońskich znowu rozpoczął się ów proces śmiertelny zmierzający do rozkładu Zachodu. Frankowie, Burgundowie, Wandalowie, Wizygoci zaczęli sobie wydzierać prowincje niegdyś rzymskie. Po silnej jedności Imperium Romanum nastąpił puzzle królestw germańskich, w którym bardzo szybko zawały się fundamenty łacińskiego świata. Gdy w roku 476 małożnaczny barbarzyńca Odoaker zdecydował, że Cesarstwo Zachodnio-Rzymskie istniało już dość długo, wystarczył zwykły prztyczek, by stracić w nicość pięknego młodzieńca, ostatniego potomka Cezarów, który jakby z ironii losu łączył w swym imieniu całą świetną historię dzieci wilczycy: Romulusa - Augustulusa, małego Augusta.

Oto — jakie widowisko ofiarowuje naszej własnie wspólnymi medytacjami.

medytacji) ów nadzwyczajny i pasjonujący wiek V naszej ery, stulecie tak źle znane, w którym Opatrzność podjęła jedną z owych straszliwych prac, jakimi przychodzi Jej czasem odnowić humus cywilizacji. Z końcem tego wieku Cesarstwo zmarło a starożytne społeczeństwo zostało rozbite. Z cywilizacji grecko-rzymskiej pozostały tylko strzępy, w które z naiwną próżnością będą się zdobić wodzowie germańscy. Wydawało się jakoby zachodnia Europa na zawsze pogrążyła się w ciemnościach.

A tymczasem przeskoczmy kilka stuleci. Sześćset lat po zawaleniu się, Europa odnaczałoby bazy pewnego porządku politycznego i społecznego. Europejczyk wynurzywszy się powoli z ociekających krwią ciemności, wśród których błądził po omacku, odzyskuje świadomość siebie i własnych możliwości. Co więcej, ten sam Zachód zazna jednego z najbardziej nadzwyczajnych okresów swej całej

1) Referat ten wygłoszony był w maju 1951 r. w czasie „Tygodnia Francuskich Intelktualistów” w Paryżu.

2) Poszczególne referaty wygłaszane w czasie „Tygodnia Katol. Intel. Fran.” były

historii, okresu, w którym jego żywotność przejawia się na tysiąc różnych sposobów: w którym wszystkie jego siły będą zmierzać do celu wyższego: epoki wypraw krzyżowych, epoki katedry gotyckiej, Danta i św. Tomasza z Akwinu. Nadzieja wróci do serc, a z nią poczucie pełni i twórczej radości. Nie zawsze więc będą miały przewagę siły śmierci.

KOŚCIÓŁ SIŁĄ REGENERACYJNĄ

Ta pobieżna analiza istotnych powodów zaważenia się Rzymu wystarcza równocześnie, aby wyczuć, dlaczego jedna, jedyna siła miała się okazać zdolna do wypracowania przyszłego zmartwychwstania. Albowiem istniała pewna siła przyszłości: Kościół Chrystusowy. Społeczeństwo zrodzone z Krwi Ukrzyżowanego, gromada wiernych bardzo nieliczna, która w wieczór Wielkiego Piątku, 30 roku mogła uważać sprawę Jezusa za zgubioną na zawsze — przez cudowny zwrot historii — potrafiła się stać pierwszą moralną potęgą swego czasu.

Jego prestiż narodził się tak wyraźnie, że Cesarstwo w chwili, gdy czuło, że kruszą się jego fundamenty, oparło się o krzyż. W roku 313, w Mediolanie, Konstantyn Wielki ogłosił chrześcijaństwo „religią dozwoloną”. W roku 380 w Tessalonikach rozkazuje wszystkim swym narodom „przyłączyć się do wiary przekazanej Rzymianom przez apostoła Piotra”. Tak więc w dramacie, w którym zawali się Zachód, jedynie właśnie Kościół, jedynie chrześcijaństwo przedstawiało jeszcze jakieś widoki na przyszłość.

Dlaczego?

PRZYCZYNY

Z dwu powodów: po pierwsze, dlatego, że w zeszłym społeczeństwie, w którym wszyscy zginali kark przed wypadkami, jedynie chrześcijaństwo zawierało w sobie wielkie twórcze cnoty: odwagę i nadzieję. Kościół ówczesny był młody, zuchwały i przedsiębiorczy. Potęga odtąd urzędowa, nie stracił jeszcze charakteru bohaterskiej mniejszości, jaką miał od lat trzystu. Na jego twarzy krew męczenników była jeszcze całkiem świeża; jego misjonarze nie znali zbędnej ostrożności, a jego bazyliki kiełkowały wszędzie. Fakt, że jeden świat musiał się zaważyć, ów wszechświat rzymski, w którym posiał on swe pierwsze ziarna, nie powstrzymywał go od pracy dla Królestwa Ojca, albowiem cel Kościoła nie był z tej ziemi.

Istniała jeszcze inna przyczyna tego zwycięstwa chrześcijańskiego w przyszłości. Oto, aby jakaś rewolucja osiągnęła swój cel, a był w pewien sposób rewolucją ów najazd germański — trzeba, aby zdolna była narzucić koncepcję świata i człowieka. Św. Paweł powiedział a św. Augustyn powtórzył: to nowego człowieka powołano do życia.

Wystarczy jeden przykład, aby zrozumieć zdecydowaną ważność tego odnowienia. Cesarstwo np. doskonale zdawało sobie sprawę z tego, jakie zarządzenia należy przedsięwziąć. Ogłaszano niezliczone prawa przeciw występkom, na jakie każdy obywatel mógł wskazać palcem. Wszystkie te prawa nie działały. Jedyne bowiem chrześcijaństwo, ponieważ przemienia same zasady człowieka, ponieważ wraz z Chrystusem naucza „Bądźcie jak Ja — czyści” — oddaje moralności jej podstawy. To na człowieka według Ewangelii nowym zbuduje się nowy świat. Naprawdę miało wartość prorocze zdanie, które jako zwykle stwierdzenie napisał wtedy poeta Laktancjus: „Jedynie Kościół zachowuje i podtrzymuje wszystko”.

AKCJA KOŚCIOŁA

Jaka więc będzie postawa Kościoła Chrystusowego w chwili, w której nastąpi zawalenie się Cesarstwa Rzymskiego?

Da się ją określić w trojaki sposób:

I

Jest to przede wszystkim coś w rodzaju instynktownej reakcji przeciw chaosowi, rodzaj walki w obronie ludzi, powierzonych opiece Kościoła. Wzrusza, gdy się widzi, że już w odległej epoce, gdzie zagadnienia wyrażały się terminologią tak różną od naszej, odpowiedzialni ludzie Kościoła reagowali w sposób uderzająco podobny do tego, jaki widzimy u jego dzisiejszych następców. Jakaś np. straszliwa groźba ciąży nad światem: zaraz chrześcijańscy przywódcy zwracają się przeciw niej bohatersko i ta lekcja trwa od wszystkich czasów.

Tu właśnie należy wywołać postacie wielkich biskupów V stulecia, którzy, gdy wzbuchła burza — podnieśli się na całą wysokość i więcej nie pozwolili się obalić. Mało ważne, że pobożność chrześcijan okoliła mniej lub więcej ich rysy nimbem legend, pozostaje rzeczywistość ich działania wzbudzająca słuszny podziw. Oto św. Nikazy (Nicaise) z Reims, zmasakrowany przed ołtarzem własnej katedry. Oto św. Exupery z Tuluzy, przemawiający tak dumnie do Wandalów, że ci wzięli go i deportują. Oto św. Sydoniusz Apolinary (Sidoine Apollinaire), wielki pan z Oweronii, którego opór wobec terroru Wizygotów zgotował mu los podobny do już wymienionego. Oto w Italii, w pobliżu Neapolu, jego współzawodnik i przyjaciel, św. Paweł z Noli, który próbując obronić swą diecezję przed Alarykiem, ulega pobity i umiera na skutek okrutnego obchodzenia się z nim.

A pomiędzy tymi, którzy nie padli w tym strasliwym stawianiu czoła — iluż było prawdziwych bohaterów? Św. Wilk (Loup), który ocalał swe miasto Troyes; św. Enian (Aignan), który walczył, by Atylla nie wziął Orleanu; św. Awit, biskup Wienne w Dauphiné z jednakowo świętymi: inteligencją i wytrwałością, organizuje wraz z wojownikiem Aetiusem przymierze, które powstrzyma najazd rycerzy huńskich. W pierwszym zaś rzędzie tych świętych postaci — jakże nie umieścić papieża św. Leona Wielkiego, który w spustoszonych i wygłodniałych Włoszech, gdzie rozpacza Cesarz z Rawenny — stawia opór rozprężeniu i zatrzymał Atyllę, udawszy się sam i bez broni do jego obozu?

Przez długi czas myślano, że ci rozliczni biskupi nosili urzędowy tytuł „Obronców Miasta”. Dziś jednak dowiedziono jasno, że nic takiego nie istniało i że to z własnej woli zdecydowali się oni na ryzyko obrony. Lecz w głębokim tego słowa znaczeniu jakże zasługują biskupi owi na taką nazwę, ponieważ to naprawdę oni bronili miasta w najgorszych chwilach trwogi.

II

Ten opór przeciw chaosowi nie był jedyną reakcją Kościoła na rozgrywający się dramat. W epokach zamieszek, na zakrętach historii — ludzka świadomość cierpi najbardziej z tego powodu, że pogrążona jest wtedy w jakiejś nieprzeniknionej nocy, że czuje się wydana na łup sił, których już nie kontroluje i że nie wie, czy poza dostrzegalnymi przepaściami pozostaje jeszcze jakaś nadzieja.

Znamienitą usługą, jaką Kościół V stulecia oddał swym dzieciom, było, że ochraniał je od przerażeń takiej nocy i że ukazał im, iż istnieje jeszcze przyszłość.

Utwardzenie w nadziei — oto orędzie, o jakim słyszy się tyle natchnionych głosów tej strasliwej epoki. Jest to refren niejednej

z kart św. Augustyna, a także tego pięknego poematu, który znany jest jako: „Carmen Providentiae”, Pieśń o Opatrzności. A gdy już potrzeba promiennego obrazu, który by wcielał cnotę nadziei — oto św. Genowefa, paryska święta, która przez same modlitwy i spokojną pewność powstrzymuje swych rodaków od opuszczenia miasta i od ucieczki po drogach, gdzie oczekiwała ich nieunikniona masakra.

Przy tym ta nadzieja chrześcijańska bynajmniej nie jest ślepa. Wręcz przeciwnie: podczas gdy tylu ludzi z V wieku (dość podobnych w tym do innych, których dobrze znamy) — nie chcieli dostrzegać powagi wypadków, właśnie chrześcijaństwo szybko zrozumiało, że świat im się wali pod nogami. „Określ tonie!” wykrzyknął szorstko św. Hieronim, a bardziej umiarkowany św. Augustyn: „To jeszcze nie koniec miasta, ale niedługo, a miasto skończy się”. Obaj bowiem dobrze rozumieli, że prawdziwą przyczyną dramatu nie jest atak germański, lecz głęboka dekadencja dotychczasowego ustroju. Więc św. Hieronim wołał jeszcze: „To nasze występki czynią barbarzyńców tak silnymi!”

Gdy jeden świat się wali — wtedy, aby chaos nie stał się wyłącznym beneficjum tego wydarzenia, trzeba było, aby owi ludzie mieli odwagę oraz inteligencję przemyślenia przyszłości i zaproponowania następcom tematów odbudowy. To również uczynili wielcy chrześcijaństwo, właśnie w chwili, gdy rozpętały się najgorsze wypadki. Jedno imię zawiera w sobie ów bohaterski wysiłek myślowy dokonania wyboru na przyszłość: św. Augustyn. Jaka bowiem z perspektywy historii była w rzeczywistości rola świętego geniusza z Hippony? Co uczynił On, pisząc gigantyczne arcydzieło „Państwo Boże”?

Nic innego, jak to: powziawszy przenikliwą świadomość dramatu i zrozumiawszy, iż ład jemu współczesny zawalił się, zaproponował chrześcijanom nowy porządek, w którym wszystkie czynniki społeczności: polityka, ekonomia i moralność miały zostać odnowione w związku z Ewangelią. Ze ten nadzwyczajny zamiar był koniecznością — dowodem tego jest fakt, iż wszyscy wielcy budowniczy przyszłych stuleci będą się wywołać ze szkoły św. Augustyna, czy to chodzi o Karola Wielkiego, czy o germańskich cesarzy, lub papieży-reformatorów XI i XII stulecia. Nie rozpaczając, lecz oceniając świat według norm chrześcijańskich, św. Augustyn naprawdę wypracował wskrzeszenie przyszłości.

III

Istnieje w końcu trzecia odpowiedzialność, jaką chrześcijaństwo przyjęło na siebie w chwili wielkiego zaważenia się starożytnego świata. Jak wszystkie zjawiska historyczne wstrząsające do głębi społeczeństwa, jak wszystkie przemiany, których dokonuje brutalna siła, najazdy barbarzyńców musiały wywołać strasliwe cofnięcie się cywilizacji. Jeśli nie jest dokładne twierdzenie, iż Zachód zgermanizował się, albowiem (przypomnijmy to) liczba najazdów była minimalna, to pewne jest, że uległ już głębokiej barbaryzacji. Niebezpieczeństwo polegało na tym, że samo chrześcijaństwo zostało wciągnięte w jej niszczycielskie działanie. I rzeczywiście, zbyt wyraźnie widać, że nawet ochrzczonego Zachód nie uniknął w ciągu stuleci silnego procesu: duchowego i moralnego rozkładu.

Lecz społeczeństwa ludzkie, nawet wtedy, gdy rozpętał się chaos, ostatecznie są warte tyle, ile warte są ich elity. Gdy bowiem masy ulegają najgorszym zawrotom, nic nie jest stracone, jeśli istnieją jednostki zdolne do ocalenia ducha. Takie zwycięstwo ducha nad brutalną siłą, jakie w końcu uświęci ukaza-

nie się cywilizacji średniowiecznej — zostało przygotowane w najgorszym okresie przez mężczyzn i kobiety, którzy potrafili umknąć przed krwawymi pokusami własnej epoki, i właśnie jednym z faktów najbardziej godnym podziwu w tych czarnych czasach jest obecność olbrzymiej liczby świetlnych postaci, których całe istnienie było jakby zaprzeczeniem smrot owego okresu. Pomyślmy tu o świętych biskupach (dziedzicach poprzednich), którzy zaznali inwazji, którzy walczyli przeciw siłom rozkładu: o pewnym św. Germanie Oxoryjczyku, o św. Izydorze z Sewilli, o św. Lambertie z Maestrichtu! Pomyślmy o postaciach kobiet tak czystych wespół rozpetanej burzy: o św. Klotyldzie, o św. Radogondzie, o św. Hildzie, o św. Bercie.

A także i w samym łonie Kościoła narodzi się spontanicznie instytucja, która w pewien sposób będzie służyć przyszłym elitom jako szkółka rozkrzewiająca. Będą nią zakony przeniesione ze Wschodu na Zachód, ustanowione przez św. Kasjana, św. Marcina, św. Honorata, instytucja, której innemu rodzajowi św. Benedykt nada wkrótce ostateczną formę. Jeśli jutro będzie szło o odbudowę — czarni mnisi, benedyktyni staną w pierwszym szeregu rusztowań.

CHRZEŚCIJANSTWO A EUROPA BARBARZYŃSKA

Tak więc chrześcijaństwo przyjąwszy na siebie odpowiedzialności, które uprawniły jego synów do rządzenia — a także rozróżniwszy składniki przyszłych rekonstrukcji oraz podtrzymując w swym łonie elity — to właśnie chrześcijaństwo w okresie najsilniejszego natężenia dramatu — przygotowało przyszłość. Teraz upłyną długie wieki, w czasie których Zachód będzie robił wrażenie — jakby był w ciemności. Będzie to ponura epoka, te „dark ages”, o jakich wspomina Christopher Dawson. Wszystko w niej pogmatwane i przynębiające: rozpasanie gwałtów, luzujące się fale najeźdźców, Lombardowie po Ostrogotach, Normanowie po muzułmanach. Poziom życia moralnego, intelektualnego i duchowego wydaje się obniżać z dekady na dekadę.

Lecz, co jest godne podziwu poprzez wszystkie te czasy barbarzyńskie — to bohaterский upór, z jakim pokolenia chrześcijan będą pracować na ponownym odzyskaniem dla Ewangelii terenu okupowanego przez barba-

ryzyców. Nigdy nie znalazł się żaden historyk, tak świecki jak i achrześcijański, który by nie chciał uznać, że w tych czarnych czasach Kościół Chrystusowy stanowił wyjątkową siłę cywilizacyjną. Jedyną, która pracowała skutecznie, by oddać człowieka samemu sobie. Jeśli Europa Wieków Średnich będzie mogła istnieć, stanie się to dzięki chrześcijanom poprzedzającej je epoki, którzy odzyskali dla niej teren.

Pierwszy etap tego odzyskania wytyczyli wielcy misjonarze.

Instynktowna reakcja starożytnych ludów cywilizowanych wobec barbarzyńskich najeźdźców była taka, jaką mogły mieć człowiek dzisiejszy, gdyby stał się ofiarą podobnych wydarzeń, tj.: nienawiść i nieufność, chęć odwetu, które wydawały się zupełnie uprawnione. Myśl, że owych najeźdźców, zabierających domy, rabujących pola i przesładujących kobiety można by — mimo wszystko uważać za braci — była wtedy czymś skandalicznym i nie do przyjęcia. A tymczasem zaledwie ci barbarzyńcy urządzili się na ziemiach ongiś rzymskich, już Kościół wysyła im misjonarzy.

Jaką wspaniałą kartę historii zapisują podczas stuleci owi porte-paroles Chrystusa, wydani na ataki wszystkich form barbarii i — z narażeniem życia siejący ziarno Ewangelii po wszystkich krajach! Podobni do proroków Izraela, lub do św. Jana Chrzciela, odziani jak oni w bure³⁾, albo w skóre dzikich zwierząt, z głową ogoloną na szczycie, lecz z włosami opadającymi wzdłuż na barki, ukazywali się wszędzie, chrzcili, nauczali, burząc świątynie pogańskie i wywracając bożyszcza. Takimi właśnie byli: św. Kolomban, św. Gall, który z Germanii uczynił ziemię chrześcijańską, zanim przeleje krew jako męczennik, by ochrzcić północną Holandię. A pewien papież pierwszej jakości, lepiej niż inni, zrozumie sens takiego wysiłku i poprze go całym swym autorytetem. Mowa o św. Grzegorzem Wielkim.

Ostatecznie — do czego zmierzać będzie cała ta praca? Do przygotowania fuzji ras, do stworzenia nowego społeczeństwa, w którym połączą się Germanowie i dawne ludy cywilizowane. Europa jutra już się poczyną.

Lecz wysiłek taki jakkolwiek byłby godny podziwu, mógłby wymagać za dużo czasu i oka-

zać się mało skuteczny, gdyby zdarzenia zewnętrzne miały go nieustannie zwalczać. Stąd więc nieodzowność wreszcie jakiegoś porządku materialnego w świecie bezecnych gwałtów i nieustannych niebezpieczeństw, konieczność ładu, bez którego nie jest możliwa żadna cywilizacja, żadne życie duchowe. Z punktu widzenia Kościoła było niezbędne, aby ten porządek materialny oparty był na zasadach chrześcijańskich. Schryścianizować siłę — oto następny zamiar tej instytucji.

Do tego zadania Kościół weźmie się z taką znajomością ludzi i z tak nadzwyczajnym wyczuciem przyszłych wypadków, że pokusa bierze, by dostrzec w tym bezpośredni znak działania opatrnościowego. Należy stwierdzić z podziwem, że w ciągu tych sześciu stuleci Kościół wybierał zawsze spośród ludzi czy instytucji to, co mogło najlepiej zapewnić chrześcijaństwu jego kroczenie ku świętości. A czynił to z absolutną niezależnością od przekazanych uczuć i przyzwyczajzeń i z zuchwałością niezrównaną.

Znamy jego stanowcze opcje. Trzeba wybierać np. między Wschodem a Zachodem. Bizancjum pod osłoną swych fortec i instytucji posiada pozorną siłę. Lecz Rzym wyczuł śmiertelne pęknięcie tego wielkiego ciała już zesklerezowanego przez cesaropapizm i urzędowy hieratyzm. Zwraca się więc do pozornie słabszego Zachodu, który ma jednak przyszłość przed sobą. Potem spośród barbarzyńskich wodzów znowu dokonuje wyboru.

W jaki sposób wielcy biskupi Galii: św. Awit i św. Remi zdali sobie sprawę z tego, że w mizernym króliku szczepu salijskich Franków tkwią zadatki na władcę tejże Galii? A jednak stało się tak, że jego właśnie wybrali i że on to rzeczywiście utrwalił porządek w państwie, a wraz z porządkiem — i tryumf katolicyzmu. Później, gdy chodzić będzie o wybór między zmierzającą dynastią Merovingów a młodym rodem, który mocą orężną Karola Martela właśnie zahamował Arabów pod Poitiers, Kościół dokonywa wyboru z podobną nieugiętością i mądrością. A jeszcze później będzie działać podobnie, aby doprowadzić Kapetyngów do władzy we Francji, lub aby w Niemczech podtrzymać dynastie Ottonów.

Dzięki więc świątym pociągnięciom i nie-



Pejzaż

Rys. Mieczysław Janikowski

zależnej a nieugiętej akcji, ostatecznie ład chrześcijański ustalili się w Europie.

Takiego samego inteligentnego a wytrwałego wysiłku dokona także chrześcijaństwo w dziedzinie, z której rodzi się prawdziwa cywilizacja, a która była wtedy najbardziej zagrożona, tj. w życiu moralnym i duchowym. Właściwie nie potrzeba podkreślać tego ogólnie znanego aspektu działalności Kościoła w czasach barbarzyńskich. W tej straszliwej epoce, gdzie gwałt sroży się na wszelki sposób, gdzie rozluźniają się obyczaje, któż więc przypomina jednostce ludzkiej o karności, o prawdziwych wartościach? Jedyne przywódcy Kościoła. Jedyne misjonarze, biskupi, papież odważają się protestować przeciw nikczemnościom władców chwili, a niektórzy z tych protestujących umierają jako męczennicy, ponieważ powtarzali zlecenia Ewangelii okrutnym i hulacczym despotom.

W ciągu sześciu stuleci Kościół uporczywie przypominać będzie swym ochrzczonym, że **powinni być chrześcijanami**. W tym samym czasie będzie On przeprowadzać w dalszym ciągu dzieło o szerokiej perspektywie, które ni mniej ni więcej tylko zmierzać będzie do nalożenia wędzidła na instynkt walki: w ten sposób narodzą się godne podziwu instytucje jak „Pax Christi” i „Treuga Dei”; rozwijają się prawa i dzieła miłosierdzia.

W dziedzinie intelektualnej — taki sam wysiłek i takie same rezultaty. Znałe jest słynne powiedzenie Chateaubrianda, który porównał zakony wczesnego średniowiecza do fortec, gdzie schroniła się cywilizacja „**pod banderę jakiegoś Świętego**”. Jest to obraz równocześnie prawdziwy i fałszywy: prawdziwy, bo jest prawdą, że to właśnie mnisi, mimo wszystko wierni nauce i pracy umysłowej, ocalili podstawowe bazy kultury, podczas gdy brutalna siła groziła jej zupełnym zniszczeniem. Lecz i fałszywy, ponieważ słowo „forteca” sugeruje jedynie obraz schronu, ucieczki, podczas gdy owe wielkie klasztory, zakładane często jako bastiony wysunięte w głąb barbarzyńskich krajów — bywały najskuteczniejszymi narzędziami chrześcijańskiego podboju. Jednocześnie: ośrodek karczowania i rolnictwa, jednocześnie: węzeł dróg, szkoła, biblioteka — tak zbudowany klasztor stawał się naprawdę ośrodkiem cywilizacji, która właśnie miała rozprzestrzenić swe olbrzymie wpływy. Był nową przestrzenią dla niej podbitą.

IV

Taka była rola Chrystusowego Kościoła podczas tych tragicznych stuleci naszej historii, kiedy to — wśród obficie wylewanej krwi i łez — przygotowywała się Europa. Rola godna podziwu, wykonana przez mężczyzn i kobiety, którym ignorancja ich potomków do dziś dnia nie oddała należytego hołdu, lecz którym w ostateczności zawdzięczamy fakt, że cywilizacja nie znikła w przepaści i że Zachód nie zapomniał Chrystusa.

NAUKI NA PRZYSZŁOŚĆ

Jasne, że gdy wywołujemy zdarzenia tak odległej epoki, należy unikać nadużywania historycznych przybliżeń, pewne bowiem podobieństwa mogłyby uderzyć nasz umysł. Jednak między czasami barbarzyńskimi a innymi, które nas obchodzą, a nad którymi również zawisły ciężkie groźby — różnice są tak samo uderzające jak i podobieństwa i — nie tu miejsce, by je analizować.

Lecz, co ważne w naszych oczach, to — aby z owych stuleci błędzenia po omacku wyciągnąć lekcje moralne i duchowe. Historia dała nam tu widowisko pewnej śmierci i pewnego odrodzenia. W tym zadziwiającym procesie chrystianizm był sposobem zbawienia. To jemu zawdzięcza się, że przyszłość musia-

ła się rozjaśnić. Czy ten przykład przeszłości utracił swe znaczenie?

Pierwszą uwagę, najbardziej zasadniczą, można by rzec jedyną, dałoby się sformułować następująco: nasi odlegli przodkowie dokonali dlatego cudownego dzieła, jakie właśnie wywołaliśmy z przeszłości, że w pełni byli wierni swemu powołaniu chrześcijańskie mu.

Z punktu widzenia ich świeckiej historii, wynik całego ich wysiłku można wyrazić w zdaniu, które spotyka się wszędzie: „**Podczas okresu barbarzyńskiego Kościół ocalił cywilizację**”. Lecz tak pojęty wynik — w planach chrześcijan, którzy osiągnęli go własnym wysiłkiem i heroizmem — był naprawdę tylko drugorzędny i mimowolny. Wielcy biskupi z okresu najazdów stawiali czoła barbarzyńcom nie w tym celu, by ocalić ramy jakiegoś zagrożonego społeczeństwa, lecz całkiem po prostu dlatego, aby być posłusznymi zasadom Miłości Chrystusowej. Św. Augustyn nie dlatego napisał „Państwo Boże”, aby przygotować fundamenty nowej społeczności, lecz aby pouczyć ludzi, w jaki sposób tu, na śmiertelnej ziemi, mogą żyć według wskazań Pana. I św. Benedykt nie po to ogłosił publicznie swą znakomitą Regułę, aby utrzymać przy życiu elity zdolne do kierowania Europą, lecz aby nauczyć słych zakonników jak żyć po Bożemu. A jeszcze później, misjonarze chrzcili barbarzyńców nie w tym celu, aby przygotować unię ras, lecz aby posłusznym być nakazowi Mistrza: „**Idźcie, nauczajcie wszystkie narody!**” I tym bardziej nie dlatego mnisi przez całe swe życie pracowali po klasztorach, abyśmy mogli jeszcze zacytować Wergilego i Demostenesa, abyśmy posiadali sztukę i filozofię, lecz jedynie po to, by żywe zachować Słowo Boże.

Takie jest wielkie i jedyne pouczenie tamtych odległych czasów. Jeśli żyjący w nich

mężczyźni i kobiety naprawdę ocalili przyszłość, to dlatego, że więcej niż we własne życie osobiste wierzyli w rzeczywistość modlitwy, jaką każdy chrześcijanin wznosi do Ojca: „**Przyjdź Królestwo Twoje!**” Szukali jedynie Królestwa Bożego i Jego sprawiedliwości, a reszta według obietnicy, „**została im przydana**”. To zaś skłania do ponownego stwierdzenia, które zresztą w innych czasach wiele innych faktów potwierdza, że czynnikiem determinującym całą działalność tych ludzi nie były ani odwaga, ani geniusz, lecz zupełna wierność rozkazom Mistrza. I oto prawda: prawdziwymi przewodnikami świata są Święci.

Lecz dla tych, którzy nie są świętymi, dają się wysnuć z tych przykładów natychmiastowe a praktyczne lekcje. Pierwsza — to lekcja **cierpliwości**. Przypomnijmy sobie daty: zaważenie się starożytnego świata nastąpiło z początkiem V stulecia, a prawdziwa cywilizacja ustaliła się przecież nie przed rokiem 1050. A więc sześć stuleci! Opatrzność ma wieczność dla siebie, podczas gdy ludzkie perspektywy są krótkie. Chrześcijanie wczesnego średniowiecza, jak mogli tak zaznaczyli każdy z nich własny zagon, nie pytając się o to, czy ujrzą kres pola. Lecz przy końcowym obrachunku całe pole zostało zaorane. Cóż więc dla nas, zaprzęgniętych do dzieła, w którym to, co się rozchodzi ma większą wartość niż my, niż nasze życie — znaczą nasze drobne a zarozumiiałe pośpiechy, nasze osobiste osiągnięcia? Co się liczy — to oddawanie Duchowi Jego pełnego świadectwa, a On niech czyni resztę.

Druga lekcja nas dotycząca — to lekcja **wiary**. Jeśli mężczyźni i kobiety (o jakich była mowa) przemienili ostatecznie świat, to dlatego, iż wierzyli z całej duszy, że słowo Boga nie mogło być próżne; że Chrystus jest alfą i omegą wszystkiego. Jeśli społeczeństwo mogło odnaleźć swą podbudowę, jeśli po tylu gwałtach mogło zapanować prawo moralne — to dlatego, że u podstaw wszystkiego istniała Ewangelia. Ludzie barbarzyńskich czasów nie byli więcej wariaci od nas, lecz nigdy nie popełnili tego błędu nie do odpokutowania, tj. nigdy nie uroili sobie wielkiej herezji współczesnego świata: że człowiek może być celem samym w sobie, że może żyć z pominięciem wyższych sił, które światem kierują. O ludziach średniowiecza można powiedzieć, że byli jak nasza Joanna d'Arc: dla nich Bóg zawsze był „**usużony pierwszy**”.

A trzecia lekcja, jaka wypływa z tych tragicznych czasów jak żywa woda obiecana Sarmarytance — to lekcja **nadziei**. Kiedy wszystko się rozpręga pod wpływem sił śmierci, kiedy wydaje się, że ludzkość zahyponotyzowana przepaścią — jakoby była gotowa pozwolić się w nią wtrącić, wtedy największą pokusą, jaka może się człowieka ucześć — jest pokusa rozpacz.

Chrześcijanie barbarzyńskich czasów nigdy jej nie ulegli. A tymczasem spektakl, jaki mieli przed oczyma, mógł im odebrać odwagę. Wobec ponownego rozpetania okropności, wobec niustannych zdrad osób już ochrzczonych — papież, biskupi, mnisi, czy Święci naprawdę mogli być stracić serce. A tymczasem jest faktem, że mimo wszystko i bez względu na to jak ciężkie były okoliczności, walczyli i trzymali się dzielnie. Zachowali ufność w Boga i w końcowy tryumf Jego Słowa. Zaiste — wielka i gołna podziwu lekcja!

Wierzyć z całej duszy w światłość — mimo najgrubsze ciemności — oto najbardziej naglący nakaz w czasach, gdy wszystko wydaje się zaciemniać i ulegać kłęsce. A ta lekcja odnosi się nie tylko do naszych odległych przodków z X czy XII stulecia.

Tłum. Maria Petry

PIERWSZA PASTERKA POLSKA

W ŚRÓDMIEŚCIU LONDYNU

ZOSTANIE ODPRAWIONA

W DNIU 24 GRUDNIA

O GODZ. 11 WIECZOREM

(12 godzina w Polsce)

w wielkiej sali wystawowej

EXHIBITION HALL

(sala może pomieścić 1.200 osób)

47 HARRINGTON ROAD,

LONDON, S. W. 7

(200 metrów od stacji kolejki
podziemnej South Kensington)

NA POLSKĄ PASTERKĘ
SERDECZNIE ZAPRASZA

Duszpasterz
Parafii Polskiej
w śródmieściu Londynu

ZGUBIONA RĘKAWICZKA

JADWIGA OTWINOWSKA



Ilustrował Jerzy Faczyński

„Nie ma dramatów wielkich i małych, są po prostu dramaty” — zwykł był mawiać starszek proboszcz prowadząc z ojcem w zimowe wieczory dyskusje na temat ludzi i życia.

Miałam wówczas lat trzynaście i mimo że zapamiętałam to zdanie, nie pojmowałam jego treści.

Dopiero w dwa lata później historia z rękawiczką otworzyła mi oczy na ważność rzeczy małych, na fakt, że coś, co w pewnych warunkach jest niewiele znaczącym drobiazgiem, w innych urasta do rozmiarów dramatu.

Każde z nas dostało od mamy na pierwszą gwiazdkę na zesłaniu parę ciepłych, wełnianych rękawiczek. Mama zrobiła je ze starego swetra, zarywając noce, w tajemnicy przed nami. Wielka była radość w całej rodzinie.

Ojciec i Sławek pracując przy wyrębie lasu nie bali się już odmrożenia rąk, my z mamą odczuwałyśmy szczęście posiadania rękawiczek każdego dnia przy oczyszczaniu dróg ze śniegu.

— Sławku, a nie zgubił rękawiczek w lesie. Krysiu, pilnuj rękawiczek swoich i Olenki — słyszeliśmy codziennie niemal upomnienia, strzeżliśmy więc tego skarbu jak oka w głowie.

I oto mamie właśnie sążone było przeżyć ciężką chwilę z powodu zgubienia rękawiczki.

Zauważyła jej brak pewnego jesiennego wieczoru, kiedyśmy wracali z pracy na kartoflisku.

— Jezus, Maria! — wykrzyknęła z przerażeniem — zgubiłam rękawiczkę!

Mama zgubiła rękawiczkę? — nie mogłam w to po prostu uwierzyć — może jest w którejś z kieszeni?

Ale w kieszeniach nie było, musiała więc zgubić ją na drodze, albo co gorzej, na polu.

Przeszliśmy z powrotem kilkadziesiąt kroków na próżno upatrując na ziemi upragnionego kształtu.

— Będę szukała na polu — w głosie mamy brzmiała twarda decyzja — choćbym miała szukać do rana, muszę ją znaleźć.

Spojrzałam na rozległą przestrzeń rozciągającą się przed nami.

Jeśli tutaj upadła rękawiczka — rozważałam przynębiającą myślą — nie ma nadziei znalezienia, na pewno któryś z traktorów wgniół ją w grunt. Nie powiedziałam tego jednak mamie i powlokłam się za nią po-

ślusnie brzegiem bruzdy. Brnęłam po rozmokłych grudach nie wierząc w powodzenie tej wyprawy. Mgły, kładąc się na polu grubą warstwą, obejmowały nas wilgotnym dotykem, zmrok już zapadł na dobre, a my wciąż błądziłyśmy bez planu, wracając po kilka razy na to samo miejsce.

Nagle przyszedł mi do głowy nowy plan. Podsunęło mi go wspomnienie Karuska, pieska Anielki z noweli Prusa. Kiedy po powrocie do spalonego dworu nie zastał swojej ukochanej pani, w głowie zrozpaczonej psiny powstała myśl biegania w kółko, zataczania coraz szerszych kęgów. Choćby miał tak cały świat obieć dokola, musi przecież w którymś punkcie globu znaleźć swoją Anielkę.

— Mamo — zaproponowałam ucieczona tym pomysłem — jesteśmy teraz prawie na środku pola — a gdybyśmy tak chodzili w kółko, zamiast błądzić tam i z powrotem?

— Dobrze — zgodziła się bez protestu.

Minuty upływały za minutami, a my wciąż krążyłyśmy w milczeniu zataczając coraz szersze koła.

Ogarnęło mnie wreszcie zniechęcenie i zmęczenie tak silne, że usiadłam na wilgotnej skibie. Mama poszła bez słowa dalej.

Patrzyłam na oddalającą się ode mnie zgiętą postać, na ręce rozgarniające grudy ziemi.

Co to będzie — myślałam pełna lęku — jeśli mama nie znajdzie rękawiczki? Zapowiadają surową zimę tego roku. Mama odmrozi ręce i nie będzie mogła chodzić do pracy. Jedna porcja chleba mniej, a i tak przecież mało.

Zapominając o swoich piętnastu latach zaczęłam płakać jak małe, bezsilne dziecko. Co bym dała za to, żeby ulżyć mamie w strapieniu. — Święty Antoni Padewski — ucpiłam się niby deski ratunku modlitewki z dziecińczych lat.

— Święty Antoni Padewski, Ozędowniku Niebieski, Niech się spełni wola Twoja, Niech się znajdzie zguba moja — powtarzałam nie przestając płakać.

Niebo wyiskrzyło się gwiazdami, od ziemi ciągnął coraz większy chłód. Zmęczona płaczem, przemarznięta i głodna postanowiłam namówić mamę do powrotu.

Wlokąc się w kierunku zgiętego cienia, potknęłam się o grudę i upadłam na ziemię. Podparłam się ręką, ażeby wstać, i nagle wy-

czułam pod palcami jakiś szorstki przedmiot. Zanim wyluskałam go z rozmięklej ziemi i podniosłam do oczu, radosny sygnał w sercu dał mi znać, że to rękawiczka mamy. Tak, to była rękawiczka!

Ogarnęło mnie uczucie radości, jakiej nie przeżywałam od czasów najwcześniejszego dzieciństwa. Gdzież z nim porównać te chwile uciechy, gdy spod choinki witała mnie uśmiechem piękna lalka o niebieskich oczach lub wymarzone łyżwy? Nawet najmilsze przeżycie dzieciństwa — wyprawa z ojcem do cyrku było tylko drobną przyjemnością w porównaniu z tą chwilą szczęścia.

Biegłam przez pole w olbrzymich susach, ściskając w ręce znaleziony skarb. Podchodzące do gardła serce zapierało mi dech.

— Mamo! mammo! — napełniłam krzykiem pustkę — jest rękawiczka!

— Rę-ka-wicz-ka! — podsunęłam jej z tryumfem przed oczy.

— Dzięki Ci, Boże! — wyszeptala całując mnie i ściskając — dzięki Ci, Boże!

Wracałyśmy do domu różnym krokiem nie czując zmęczenia. Kto to idzie drogą na przeciw? To ojciec. Wyszedł zaniepokojony na nasze spotkanie. Więc my z mamą na przemian opowiadamy o naszej zgubie, o naszym wielkim zmartwieniu i o tym, że już przeszło, że już jest wszystko dobrze, bo zguba się znalazła.

Ojciec objął mamę ramieniem i szli tak przytuleni, szczęśliwi, jak za dawnych lat, kiedy wychodzili razem do sadu cieszyć się brzękiem pszczelnych ulów, kwitnącymi drzewami wiśni lub jabłoniami uginającymi się pod ciężarem owocu.



„KRAŃCOWY MARZYCIEL”

Napisał TADEUSZ ZIARSKI

W czasach bujnej i chmurnej młodości — różnie go określali. Nowosilcow w doniesieniach do cara Aleksandra I przedstawiał go jako „niebezpiecznego przywódcę rewolucyjnego internacjonalu młodzieży obejmującego całą Europę”. Po upadku powstania listopadowego władze pruskie zachowały o nim opinię jako o Robespierre powstania. Ktoś, kto go dobrze znał z ziemi rodzinnej, pisał do Mickiewicza: „Czapski jeden w świecie Wallerodem twój w najlepszym znaczeniu być zdolny. Staraj się go poznać w twoich podróży, zrozumiał dawno twoje serce, wniósł się jeden tyko może ku Twym chlubnym marzeniom...”

Takim był Józef Czapski. Gdzie zbierali się marzyciele, snując sny o innej, lepszej przyszłości, tam zdążał „Schwärmer im extrem” — krańcowy marzyciel — jak go określił trafnie naczelny prezes Prus Wschodnich i Zachodnich, Theodor von Schön, w raporcie do ministra księcia Lottum.

Urodził się 25 marca 1797 roku w Bydgoszczy. Ojciec, także Józef, był generałem majorem Wojsk Polskich, matka, Kornelia, z domu Pławińska. Ukończywszy szkoły w kraju, po śmierci ojca, po ułożeniu spraw spadkowych, wyjechał w 1818 roku do Wrocławia, gdzie się zapisał na wydział filozoficzny tamtejszego uniwersytetu. Używał tam przybranego przy bierzmowaniu imienia Napoleon, pozbywając się imion chrześcijańskich — Józef Kazimierz Sulpicjusz. Wkrótce zanurza się w nurt aktywności związków młodzieży i w 1820 roku przekształca miejscową Polonię na wzór, surowo już wówczas zabronionych, niemieckich burszensaftów, nawiązując kontakt z tajnymi związkami w Warszawie i uniwersytecką młodzieżą w Niemczech.

Po odsiedzeniu w twierdzy wrocławskiej kary za awanturę z majorem baronem Maltitz, w 1821 roku nielegalnie przyjeżdża do Warszawy. Policja carska pilnie go tropi. W doniesieniu do wielkiego księcia Konstantego Nowosilcow, pisząc o ruchach młodzieżowych, określa Czapskiego „une des plus mauvaises têtes de l'université de Breslau”.

Niebawem Czapski udaje się za granicę. Stale jest w podróży, w wybuch powstania w 1830 roku zastaje go w Paryżu. Wygłaszał tam mowy na wyższych uczelniach, na rzecz sprawy polskiej. Pisma paryskie „Constitutionnel” i „National”, podają treść mowy wygłoszonej przez niego 13 grudnia na pogrzebie Beniamina Constant (1767-1830), polityka i pisarza francuskiego, członka Trybunału i posła. Tematem przemówienia było braterstwo broni, wspólnota ideałów i ufność w pomoc Francji.

Dopiero 17 kwietnia 1831 roku zdołał dostać się do Warszawy. Był już w styczniu w zaborze rosyjskim, używając francuskiego paszportu wystawionego na nazwisko Eugeniusz Bonnet, lecz do ministra spraw zagranicznych w Warszawie dotarł w trzy miesiące później, przedstawiając się jako „znany w kraju obywatel” i 19 kwietnia wstępuje do pułku jazdy ochotników poznańskich.

W czasie kilkumiesięcznej służby wykazuje odwagę i nieprzeciętność. Od 1 maja do 22 sierpnia jest adiutantem polowym naczelnego wodza gen. Skrzyneckiego. Podporucznik

zostaje 11 maja, awansuje na porucznika 31 lipca. Brał udział w bitwach pod Mińskiem, Ostrołęką, Łysobykami, Potyczką i Nieborowem. Za wyróżnienie się w wyprawie do Siedlec, 19 lipca 1831, zostaje odznaczony złotym krzyżem Virtuti Militari, w dniu 11 sierpnia.

Podczas krytycznych ostatnich dni obrony stolicy, przekonawszy się, że jazda poznańska nie wejdzie do walki, biwakując pod Marymontem pod pozorem zdrowotnego urlopu, przekrada się za rogatki i bierze udział w boju do końca szturmów. Odznaczył się raz jeszcze przy uprowadzeniu śmigownicy pod ogniem kartaczowym, 7 września 1831 roku.

Obserwując nieudolność i chwiejność generalów, publicznie grozi im śmiercią i wygłasza zachwałę przemówienia. Mógł mieć za to sąd wojenny, został nawet aresztowany przez Dembińskiego, gen. Krukowiecki kazał go jednak zwolnić.

Wkrótce po upadku Warszawy, 24 września, Czapski uzyskał paszport na podróż naukową do Anglii, Francji i innych państw. Dymisjonowany z wojska, nie zdołał skorzystać z paszportu i przeszedł z powstańcami granicę. Ścigany listami gończymi przez pruską policję, przedarł się pod obcym nazwiskiem do Gdańska. Tam, kilkakrotnie unikając aresztowania, został rozpoznany i zadencjonowany przez pruskiego oficera z Kujaw. Po dwutygodniowym areszcie, 14 grudnia wypłynął na angielskim statku z Gdańska i po ciężkiej podróży morskiej wylądował w Irlandii z końcem stycznia 1832 roku.

Dublin przyjął Czapskiego owacyjnie. Na licznych publicznych zebraniach był gościem honorowym i mówcą, pisma irlandzkie drukowały jego przemówienia, wszędzie, gdziekolwiek był zapraszany, otaczano go wielkim szacunkiem. Pisał do Leonarda Choźki w liście z 3 marca 1832 roku: „Entuzjazm dla polskiej sprawy otworzył mi tyśiące serc...”

Po pewnym czasie popadł w konflikt z władzami. Za bezprawne przedłużenie pobytu w Irlandii i rzekomą działalność wywrotową ukarany został grzywną 50 funtów. Skutek był nieoczekiwany. Niezależna prasa irlandzka nadała rozgłos sprawie Polaka i społeczeń-

stwo dublińskie zorganizowało zbiórkę na pokrycie grzywny, jak wyraziła się jedna z gazet: „aby uchronić Irlandię od hańby”. Poważni obywatele, adwokaci, kupcy zbierali po ulicach same miedziaki do taczek. Czapski zainicjował petycję do parlamentu na rzecz Polski i w ciągu jednego dnia podpisał ją 5 tysięcy osób.

Czapski, otrzymując zaproszenia ze wszystkich stron Irlandii, objechał szereg miast w towarzystwie wybitnego polityka irlandzkiego Daniela O'Connella (1775-1847), wojownika o prawa katolickie i narodowe swego kraju. Pod koniec kwietnia 1832 roku wylądował w Liverpoolu. Stamtąd udał się do Birmingham, gdzie był obecny na dużym wiecu, zorganizowanym przez partię radykalną, głoszącą reformy ustrojowe w swym programie. Przybywszy do Londynu wziął udział w bankiecie wydanym 23 maja przez lorda-mayora Londynu dla deputacji politycznej w Birmingham.

W lutym 1833 roku uzyskuje francuski paszport na nazwisko Józefa Chapmana. Pod tym nazwiskiem wyjeżdża do Paryża, Dalmacji i Szwajcarii, gdzie 15 kwietnia 1834 roku jest świadkiem zawiązania w Bernie stowarzyszenia „Wolnej Europy”, złożonego z „Młodych Niemiec”, „Młodych Włoch” i „Młodej Polski”. Czapski, blisko związany z ruchem, odgrywał w nim też pewną rolę, czego dowodem jest posługiwanie się w korespondencji szyfrem „Młodej Europy”.

Uzasadnienia licznych podróży Czapskiego trzeba szukać prawdopodobnie między innymi w jego przynależności do związków węglarskich i działalności konspiracyjnej. W ciągu następnych kilku lat bywa w Neapolu, Rzymie, na Korsyce i w Algierze. W 1835 roku jest w Bernie, potem jedzie do Gibraltar. Po zimie w Hiszpanii wraca znów do Szwajcarii. W 1838 roku przyjeżdża do Londynu, gdzie styka się z Mazzinim, który schronił się tu rok wcześniej.

Pod nazwiskiem irlandzkim, jako John O'Brien, udaje się w 1841 roku na kurację do Marienbadu i — Wiednia. Tropiony stale przez policję, wraca potajemnie do Anglii przez Belgię. W rok później w dalszym ciągu jako John O'Brien jedzie do Niemiec — Monachium, Augsburga, Frankfurtu, ponownie zagląda do Wiednia i nawet do zaboru rosyjskiego!

W październiku 1842 aresztuje go policja w Akwizgranie i oskarża o posługiwanie się cudzym paszportem. W roku 1844 rozpoczyna starania o powrót do Wielkopolski, w międzyczasie wyjeżdża do Paryża, gdzie oczekuje wyniku procesu w Berlinie. Zostaje zwolniony, przypuszczalnie dzięki swym powiązaniom wolnomularskim.

Około 1847 roku wrzesie, po szesnastu latach tułaczki, wraca do stron rodzinnych. Nie bierze udziału w powstaniu wielkopolskim i po kilku latach, 17 września 1852 r., umiera na cholere, przeżywszy 55 lat. A więc i życie burzliwe i śmierć niespokojną miał rozmiłowany jako i my w wolności, romantyk — emigrant — „krańcowy marzyciel” — Józef Napoleon Czapski.

Tadeusz Ziarski

Nowość! NA CZASIE Nowość!

JASEŁKA

INSCENIZACJA KOŁĘD DLA DZIECI

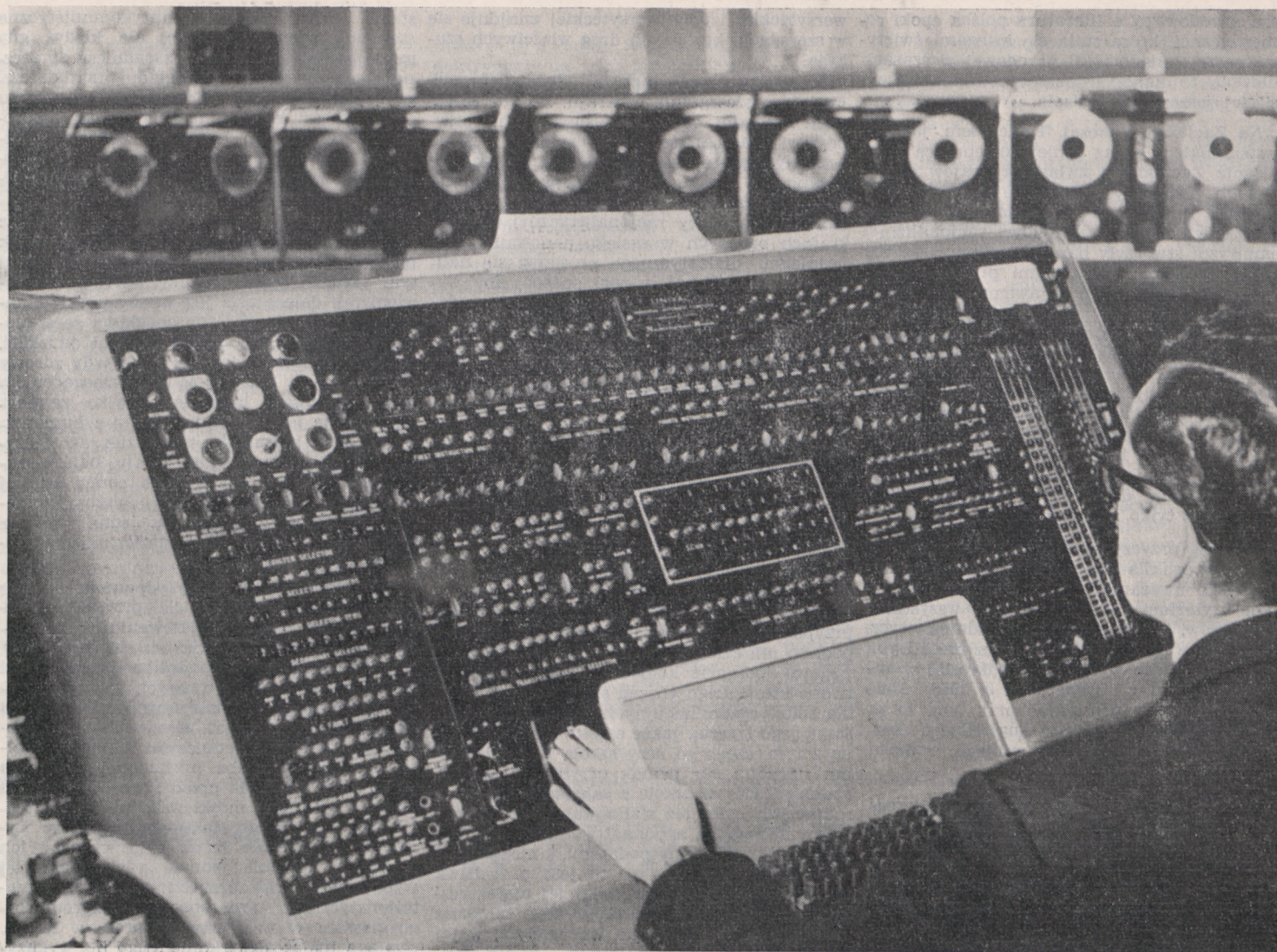
w układzie Wandy Kurzejówny-Buskiej
Bardzo łatwe do wykonania jasełka w dwu odsłonach zawierają 18 kołęd wraz z tekstem wiążącym i wskazówkami dla inscenizatorów.

Nuty kołęd w układzie na fortepian.
Książeczka ta stanowi cenny nabytek dla każdego polskiej rodziny na obczyźnie.

Cena: 4/-; 0.60 dol.; 200 fr. fr.
plus koszt przesyłki.

Na zamówienie wysyła
K. O. W. „VERITAS”

12 Praed Mews, London, W. 2, England



NIECH BĘDZIE NAS NA POCZĄTEK KILKU...

Napisał TADEUSZ FELSZTYN

Światopogląd młodzieży polskiej w okresie przed pierwszą wojną światową i — w nieco może tylko słabszym stopniu — w czasie międzywojnia rozwijał się na podłożu nauk humanistycznych. Zarówno łacina z jej silnie humanistycznym programem w polskich szkołach średnich, jak zwłaszcza nauka historii i literatury polskiej, a wreszcie cała polska twórczość literacka były tą glebą, na której dojrzewiała dusza polskiej młodzieży, gdzie znajdowała ujście dla swoich dążeń, marzeń i aspiracji. Jeśli weźmiemy jako przykład pseudonimy polskich legionistów z 1914 roku, wyrażające przecież podświadomie wzory do naśladowania, ideały młodzieńcze, to uderzyć nas musi, jak przeważającą w nich ilość stanowią nazwiska czy zawołania przejęte z historii lub literatury. To więc było podłożem

Amerykańskiej produkcji „mózg elektryczny” (wytw. Remington „Univac”) zainstalowany został obecnie we Frankfurcie nad Menem. Jest to największy w tej chwili aparat tego typu w Europie. Poszczególne instytucje i firmy mogą wydierżawiać usługi „mózgu elektrycznego”, który rozwiązuje najzawilsze problemy obliczeniowe w przeciągu sekund. Ilustracja nasza przedstawia tablicę rozdzielczą maszyny w czasie pracy.

duchowym, na którym kształtował się ówczesny pogląd, to krynicą, skąd wrodzony idealizm młodości czerpał wzory i natchnienia. I — jak ktoś słusznie powiedział — fakt, że pierwszą placówką obrony Lwowa w 1918 roku była Szkoła Sienkiewicza, miał wydzwięk symboliczny, gdyż w szkole Sienkiewicza na lekturze jego powieści, wychowała się cała ta młodzież szkolna czy rzemieślnicza, która wypełniła szeregi obrońców Lwowa.

Postawa wykształcenia. W owych czasach w Polsce nauki humanistyczne były uważane za podstawę wykształcenia. Kiedy w latach trzydziestych Kazimierz Bartel podniósł alarm, że poziom kultury młodzieży polskiej się obniża, wnioski swe oparł on nie na badaniu wiadomości technicznych, lub też przyrodniczych swych słuchaczy, lecz właśnie na doraznym egzaminie ich wiadomości z zakresu historii i literatury. A przecież Bartel nie był z zawodu humanistą, lecz matematykiem, profesorem politechniki, a nie uniwersytetu.

Późniejsze reformy szkolnictwa, choć coraz bardziej wprowadzały specjalizację i pogłębienie działu przyrodniczego w nauce, nie tylko że nie pomniejszyły programu humanistycznych w szkołach ogólnokształcących ale wprowadziły go i do szkół technicznych.

Warto podkreślić, że kładąc tak silny nacisk na nauki humanistyczne, jako na niezbędną podstawę światopoglądową, byliśmy odosobnieni. Na Zachodzie bowiem, a zwłaszcza w krajach anglosaskich, nauczanie szło coraz bardziej w kierunku specjalizacji, a podstawą myślenia przeciętnego człowieka stawały się w coraz większym stopniu nie nauki humanistyczne, lecz przyrodnicze. To nasze przywiązanie do nauk humanistycznych, szło tak daleko, że utrzymaliśmy nawet propedeutykę filozofii w ostatniej klasie szkoły ogólnokształcącej, choć w Anglii np. nie tylko uczeń szkoły średniej, ale i słuchacz uniwersytetu może ukończyć studia, i to także w dziale humanistycznym, nie licząc w ogóle filozofii. Wpływało to — moim zdaniem — z naszego silnego związania się z kulturą łacińską. I choć, gdy to ongiś napisałem w „Wiadomościach”, spotkałem się z silną krytyką Mieroszewskiego, podtrzymując nadal to twierdzenie. Polska bowiem, jak każde kresy, przywiązała się bardzo mocno do tego, co ją różniło i oddzielało od grożącego jej niebezpieczeństwa tak ze strony barbarzyństwa wschodniego, jak i od antyhumanistycznych elementów prusactwa. To silne przywarcie do humanizmu łacińskiego stało się więc orężem w naszej walce o zachowanie własnego obli-

cza narodowego, a literatura polska epoki romantycznej, która stała się księgami świętymi naszej świadomości narodowej w czasach niewoli, to nasze związanie z humanizmem silniej jeszcze utwierdzała.

Na Zachodzie inaczej. Tymczasem, jak już wspominałem, coraz silniej postępująca technizacja Zachodu, a zwłaszcza krajów anglosaskich, pchała życie duchowe tych krajów w zupełnie innym kierunku, zwłaszcza, że silny zawsze w ich życiu umysłowy racjonalizm i empiryzm stworzyły bardzo po temu podatny grunt. Myślenie kategoriami przyrodniczymi stało się zasadniczym objawem życia duchowego Anglosasów, a jako skutek pociągało za sobą coraz dalej idące ograniczenie programu humanistycznego w szkołach i coraz dalej posuniętą specjalizację. Pamiętam moje zaskoczenie, gdy zetknąwszy się po raz pierwszy z angielską młodzieżą szkolną, stwierdziłem, że jej znajomość własnej literatury (poza obowiązkową literaturą szkolną) jest dużo mniejsza, niż moja w postaci, które towarzyszyły mojemu dzieciństwu, są im znane przeważnie tylko z „comicsów”.

Tu leżą przyczyny, które doprowadziły do tak typowego dla przeciętnego inteligenta angielskiego uważania rozumu ludzkiego za jedyne kryterium do rozwiązywania wszystkich problemów, nie wyłączając zagadnień etycznych, do owego społeczeństwa bez metafizyki, jak to niedawno wymownie podkreślał w radio angielskim („Listener” 13. 9. 1956) Alaster Macintyre, zapominając przy tym, że ta tak typowa dla inteligenta angielskiego „bezdogmatyczność” jest też swojego rodzaju metafizyką.

Skutki nie dały na siebie czekać. Coraz dziś liczniejsze skargi na „niepiśmienność” naukowców, którzy nie potrafili się podzielić swymi myślami nawet z pracownikami pokrewnej, choć nieco odrębnej dziedziny, niesłychanie niski poziom stylistyczny angielskiego współczesnego piśmiennictwa naukowego w porównaniu do takich dawnych olbrzymów stylistyki, jak Jeans, lub Eddington, to wszystko są symptomy choroby, której na imię wyjałowienie duchowe. I nie dziw, że w takich warunkach — jak to stwierdzono ze zdumieniem na tegorocznym zebraniu British Association for the Advancement of Science — ludzie z wykształceniem humanistycznym okazali się znacznie lepszymi kierownikami zakładów przemysłowych niż technicy i naukowcy. W Polsce przedwojennej nasze doświadczenia były wręcz odwrotne: właśnie technicy bywali najlepszymi kierownikami fabryk, a nawet ich dyrektorami administracyjnymi. Ale wykształcenie polskiego inżyniera miało szerokie podłoże humanistyczne, podczas gdy inżynier lub naukowiec angielski bardzo często nie ma zielonego pojęcia o niczym poza swą wąską, coraz bardziej zacieśniającą się specjalnością.

Wynik tego silnego przepojenia naukami przyrodniczymi, jako podstawą światopoglądu, można doskonale obserwować na katolickiej młodzieży angielskiej z wykształceniem akademickim — w działach nauk przyrodniczych — która z trudem i mozołem usiłuje dociągnąć wiarę do podstaw przyrodniczych swego poglądu na otaczający nas świat, zamiast na odwrót: w głębokich podstawach wiary szukać rozwiązania dręczących ją problemów i tajemnic przyrody. Wolno mieć nadzieję, że wysiłek myślowy tej młodzieży i duża pomoc, jaką otrzymuje ona ze strony kapelanów uniwersyteckich, pozwolą jej z czasem znaleźć właściwą drogę. Żałować tylko należy, że tak mało polskiej młodzieży uni-

wersyteckiej i pouniwersyteckiej znajduje się w szeregach, które tych dróg właściwych szukają.

Młodzieży naszej zagraża duże niebezpieczeństwo, szczególnie w Kraju. Bo o ile ścietym zachodni, choć niewątpliwie silnie przepojony tezami materializmu (mimo iż często odzęgnytuje się od tego słowa) kształtuje światopogląd swych wychowanków niejako na uboczu, raczej pośrednio, bez jawnego narzucania swej postawy racjonalistycznej, o tyle w krajach będących w zasięgu panowania materializmu dialektycznego prowadzi się nauczanie przyrodnicze w taki sposób, aby wyraźnie, na każdym kroku, wyciągnąć z podawanych faktów wnioski światopoglądowe, oczywiście popierające tezy materializmu dialektycznego. Zniekształcanie faktów, pomijanie faktów niejedogodnych, zacieranie granicy między faktami a dowolnymi wnioskami i na niczym nie opartymi hipotezami, wszystko to tworzy sieć pajęczą, która ma oмотać umysł młodzieży, niezdolnej do krytycznego odróżnienia tego, co jest niewątpliwym faktem naukowym, a co tylko dowolną konstrukcją myślową, jakże często nie tylko że nie opartą o fakty, ale nawet z nimi sprzeczną.

Niebezpieczeństwo to jest o wiele groźniejsze od tak typowego fałszowania historii i literatury. Uczeń w szkole bowiem skłonny jest przypuszczać, że te czy inne fakty historyczne podano mu celowo nieprawdźliwie, może też z pogardą odrzucić komentarz do jakiegoś utworu literackiego (ucząc się go co najwyżej dla celów egzaminacyjnych), zachwycając się samą jego treścią, jakże często wręcz sprzeczną z tym, czego go uczy szkoła komunistyczna. Trudno mu jednak przypuścić, aby to, czego go uczą w szkole z zakresu nauk przyrodniczych było też sfalszowane, lub co najmniej naciągane, a ponadto nawet przy najbardziej krytycznym podejściu, niezmiernie mu trudno oddzielić to, co jest prawdziwą nauką, od tego, co jest tylko jej dialektycznym naciąganiem. Skutkiem tego młodzież polska w Kraju przesiąka wtłoczonymi w jej umysły tezami przyrodniczymi, które nieświadomie, ale bardzo skutecznie, kształtują jej światopogląd. A że bardzo często jest to młodzież, która możliwość zdobycia nauki uważa — i słusznie — „za wielką zdobycz swego życia”, więc przywiązuje się ona do tego, co w tym najbardziej niepodważalnym zakresie zdobyła w szkole. Widać to wyraźnie, gdy rozmawia się z młodzieżą szkolną lub uniwersytecką, której udało się uciec z Kraju. Mimo jej usilnego nastawienia antykomunistycznego, mimo głębokiego przywiązania do wiary, jej poglądy przyrodnicze są na wskroś materialistyczne. I co więcej, gdy poglądy te zaczepić, broni ich ona jako czegoś, co przecież nie może ulegać wątpliwości, co jest jej z dużym wysiłkiem zdobytą wartością intelektualną.

Niewątpliwie, materialistyczne poglądy przyrodnicze zdobywały sobie coraz szerszy grunt w umysłach polskich i przed wojną. Wobec jednak silnego podłoża humanistycznego kultury polskiej można było wtedy mieć nadzieję, że z czasem uda się wytworzyć zdrową syntezę tego, co nauki przyrodnicze wniosły nie tylko w materialne, ale i duchowe życie ludzkości, z tym co stanowiło podstawę życia duchowego Polaka, z jego humanizmem i głęboką wiarą, choćby nawet aż nazbyt często bardziej opartą na uczuciu niż rozumie.

Dziś jednak, gdy nauki przyrodnicze, w ich najbardziej karykaturalnie zmaterializowanej formie, stały się zasadniczą podstawą myślenia całej polskiej młodzieży w Kraju, niebezpieczeństwo grożące kulturze polskiej stało się bardzo poważne. Na razie silne na-

stroje antyrosyjskie i antykomunistyczne stanowią pewną odtrutkę, ale kiedyś gdy minie okupacja sowiecka, zasadnicza sprzeczność spaczonych światopoglądu przyrodniczego z podstawowymi założeniami humanizmu i religijności kultury polskiej muszą doprowadzić do ostrego konfliktu, bardziej groźnego dla całego nastroju duchowego Polaków, niż wszystkie sowieckie fałszowania historii i literatury razem wzięte.

Przeciwdziałać temu można oczywiście nie poprzez negowanie czy też odrzucanie nauk przyrodniczych, co nie jest ani możliwe, ani tym bardziej celowe. Nauki przyrodnicze bowiem tak dalece dziś już weszły w skład naszego współczesnego światopoglądu, że stanowią jego część nie dającą się ani oddzielić, ani tym bardziej odciąć. I jak każdy zdrowy produkt myśli ludzkiej są one wzbogaceniem życia duchowego ludzkości. Tylko, zamiast stosować je jako narzędzie walki z humanizmem naszej kultury i z wiarą, tak jak to czynią komunistyczni władcy Kraju, należy szukać syntezy, jak to właśnie coraz usilniej dziś czyni myśl katolicka w słusznym przeswiadczeniu, że prawda jest jedna i że nie może być istotnej sprzeczności między poszczególnymi jej źródłami.

W tej syntezie więc leży odpowiedź na owe niebezpieczeństwo, jakie dla przyszłości kultury polskiej stanowi fałszowanie nauk przyrodniczych w Kraju. Ale i nie tylko w niej. Aby ta synteza była możliwa, musi umysł wpraw wyzłocić się z fałszywych doktryn pseudonaukowych i jednostronnych oświeleń i teoryj. Konieczna jest więc walka z fałszowaniem nauk przyrodniczych w Polsce, walka obecnie — trzeba przyznać — znacznie trudniejsza, niż była przed „odwilżą”. Dopóki bowiem tępa łapa moskiewska narzucała teorie tak absurdalne, jak osławione tezy Łysienki, niezmiernie łatwo było wykazać ich nonsensy. Obecnie jednak, gdy najbardziej wypaczone teorie odrzucono, zwalczanie materialistycznego światopoglądu przyrodniczego głoszonego przez szkołę i prasę w Kraju, wymaga już czegoś trudniejszego niż wykazywanie nieprawdźliwości podawanych faktów, wymaga demaskowania powierzchownych lub wręcz naciąganych uogólnień i oddzielenia ziarna faktów od plew naciąganych teoryj i hipotez przedstawianych jako pewniki.

Jest to praca żmudna i trudna, a ten, kto ją podejmuje, musi mieć gruntowną znajomość zarówno danej dziedziny nauki, jak i filozofii.

I musi to być nie tylko praca na dziś, jaką od czasu do czasu, na marginesie innych audycji, wykonują radiostacje zachodnie pracujące na Kraj, ale jest to praca dla przyszłości w przewidywaniu chwili, gdy znów zapanuje w Polsce swoboda myśli i gdy będzie należało stoczyć ostrą walkę ideologiczną z trującymi miazmatami niewoli sowieckiej.

Zarówno ta walka doraźna, jak i przygotowanie materiałów dla walki przyszłej są niewątpliwym obowiązkiem emigracji, a zwłaszcza młodzieży emigracyjnej, wychowanej poza granicami Kraju i mającej swobodny dostęp do pełni wiedzy.

Jeśli jednak młodzież ta ma zadanie to wykonać, musi ona nie tylko zadowolić się tym, co zdobyła w czasie swych studiów uniwersyteckich, jakże często, zwłaszcza na terenie Anglii, o bardzo jednostronnym nastawieniu światopoglądowym, ale ponadto włączyć się w nurt pracy myślowej katolickiej kraju swego zamieszkania, nurt, który w Anglii zwłaszcza, jeśli idzie o interesujące nas tu zagadnienie nauk przyrodniczych, jest bardzo żywy, samodzielny i twórczy.

Ponadto jednak musi ona dokładnie zapoznać się nie tylko z podstawami filozoficznymi myśli katolickiej, ale również i z takimi podstawami wroga, a więc materializmem dialektycznym i z jego zastosowaniami w dziedzinie nauk przyrodniczych. Musi wreszcie dokładnie śledzić podręczniki naukowe i prasę fachową, a zwłaszcza naukowo-popularną w Kraju, aby zdać sobie sprawę z tego, jak w praktyce wygląda naciąganie nauki do teź materializmu dialektycznego.

Bardzo istotne zadanie. Jest to zadanie: raczej trudne i wymagające dobrej pracy zespolowej, jeśli ma być wykonane właściwie. Ale jest ono bardzo istotne. Cóż bowiem pomoże najbardziej nawet wyteżona działalność kulturalna na polu humanistycznym, jeśli przyszli odbiorcy owoców tej pracy będą u samych swych podstaw przepojeni antyhumanistycznym światopoglądem, jaki im systematycznie wdraża się w Kraju i jeśli pod wpływem tego światopoglądu będą chcieli kształtować formy przyszłego życia w Polsce.

I dlatego wydaje mi się, że — odwołany, niestety — Kongres Kultury Polskiej powinien być mieć i to zagadnienie, tak przecież istotne dla przyszłości polskiej kultury, na swym warsztacie. I tak, jak rację miał „Mercuriusz” (nr 76/77), że bez udziału młodzieży Kongres Kultury Polskiej byłby chybiony, skoro przecież nie kto inny, jak właśnie młodzież ma przejąć na swe barki troskę o utrzymanie kultury polskiej, tak samo i bez rozpatrzenia zagadnienia obrony polskiej postawy duchowej przed trującymi miazmatami

falszywej, a jakże jednak sugestywnej, in-doktrynacji na polu przyrodniczym — zadanie obrony kultury polskiej nie będzie wypełnione.

Pamiętać bowiem musimy, że obecnie i to zarówno w Kraju, jak nawet po części i na emigracji — zasadniczą podstawą światopoglądu są nauki przyrodnicze, a wszystko inne jest tylko (jeśli mi wolno tu użyć terminu marksistowskiego) nadbudową. Bez oczyszczenia więc gruntu, bez usunięcia z owych podstaw światopoglądowych wszystkiego co fałszywe i narzucone przez mylną doktrynę, pozostawi się grunt jałowy, nie tylko niezdolny do przyjęcia tak odmiennej duchowo polskiej kultury w jej tradycyjnym humanizmie, ale wręcz kulturze tej wrogi.

Należy więc mieć nadzieję, że przyszły Kongres Kultury Polskiej (o staraniach wznowienia go doniósł „Orzeł Biały” w nrze 742), czy też jakakolwiek inna przyszła forma tej tak przecież niezbędnej i aktualnej akcji, weźmie i ten problem pod uwagę.

Bez względu więc na wszystkie zaszele w Polsce zmiany nie wolno nam zapominać o tym, że chodzi o rzecz zasadniczą, czy przyszła kultura polska będzie rozwijać się zgodnie ze swą dziś już tysiącletnią tradycją, ściśle związana z myślą kultury zachodniej i wiary katolickiej, czy też ma stać się jedną tylko z odmian tak obcej duchowi polskiemu kultury rosyjskiej, a więc, w myśl słów Stalina „narodową w formie, międzynarodową” (czytaj moskiewsko-komunistyczną) w duchu”.

W tej systematycznej dążności do narzucenia Polsce tak jej obcej kultury, najpotężniejszym narzędziem komunizmu są nauki przyrodnicze w ich marksistowskim sosie. Wszelka więc walka z tym duchowym rusyfikowaniem Polski musi uderzać właśnie w fundamenty, na których najeżdżca usiłuje budować swój gmach. Walka więc o utrzymanie kultury polskiej, która by o tym zapomniała, byłaby z konieczności rzeczy walką tylko polowiczną i tym samym z góry skazaną na niepowodzenie.

Nie możemy jednak czekać na to, czy i kiedy Kongres Kultury Polskiej się zbierze. I dlatego właśnie artykuł ten chcę zakończyć apelem do tych wszystkich, którym obrona kultury polskiej przed jej komunistycznym wypaczeniem leży na sercu i którzy w tej walce o oczyszczenie przyrodniczych podstaw narzuconej w Kraju doktryny mogą i chcą wziąć udział: zgłaszajcie się do wspólnej akcji. Niech będzie nas na początek kilku. Z czasem niewątpliwie szeregi nasze się powiększą. Trzeba tylko rozpocząć.

Apel ten kieruję do wszystkich, którzy pracują na polu nauk przyrodniczych i którzy mocno stoją na gruncie ideologii katolickiej. W szczególności zwracam się do młodych. Jest to dla was taka sama walka o Polskę, jak dla waszych starszych kolegów była walka z orężem w rękę w czasie drugiej wojny światowej. Tak samo trudna i pełna poświęceń.

Tadeusz Felsztyn

NA GRÓB CONRADA

Sleep after toyle, port after stormie seas,
Ease after warre, death after life
does greatly please.

E. Spencer

granitu bryła
ład i brak ozdób
maj upływa
z dłoni ziemi obu

jeszcze żyją
z którymiś mówił i milczał
ale i ich uchwyci otchłan
wiatrów lilio
troško najwznioślejsza
od łatwej radości ochron

i nas wiek ten nie olśnił
ale znużył
gorycz woda morska
czerpana nie z przenośni
lecz z burzy



W I E R S Z E

Mieczysław Paszkiewicz



KOCHANOWSKI

Patrz oto ciemność zstępuje na kartki
zasłaniając słów twych strumień czysty
wartki

i usypiając myśli rozigrane rymem
cisza — po niej na dno zmierzchu łagodnie
schodzimy

rok 1955. ale oto pamięć jak wesoly promień
mieni się różnie wśród słów Twoich płonie
i niedbale podnosi czarne kształty liter
wiedźmom podobne. Czulość uładza je przy
tym

iż z łatwością oczy przymrużywszy nawet
biore je — złoty pierścień — i na palec kładę
lub dotykam jak strunę którą lato żrałe
potrąca starym bogom na radość i chwałę

lecz milczę. Niech Twe wiersze wspomaganie
nocą
ową ziemię pszeną śpiewną do warg mi
przyniosą

STANISŁAW TREMBECKI

— któryś płakał nad ruinami Troi
i Kiopkowi pomnik wznosił
czemu gdy ginęli twoi
nie znalazłeś i słowa litości

— jakże miałem dotknąć
com najtajniej kochał i najczulej
odszedłem mieszkać w samotność
pośród traw i wróbli

Kraj naksztaltł ściętego drzewa
w mrok padał prawnuku najmilszy
ten który życie całe przepiewał
najlepiej cześć gdy milczy



Ilustrował Jerzy Faczyński



Na kalabryjskim wybrzeżu we Włoszech, niedaleko miejscowości Crotona, przed kilku wiekami wznosiła się bogata kolonia grecka. W pewnym okresie morze podmyło wybrzeże i pochłonęło znaną z piękna starożytną świątynię Hery Licynii. Grupa eksploratorów przystąpiła ostatnio do badania w tym miejscu dna morskiego. Znaleźli wiele spoczywających na dnie skarbów sztuki. (Nasza fotografia przedstawia nurka Ruggero Januzzi w chwili znalezienia starożytnej amfory). W poszukiwaniach swoich natrafili nie tylko na resztki świątyni, ale wpadli na ślad leżących opodal szczątków zatopionego miasta rzymskiego.

Scena z niedawnych zdarzeń na pustyni Synaj: dwóch żołnierzy żydowskich na wysuniętej placówce. Są to dwaj bracia bliźniacy Zachariusz i Saadiusz, pochodzenia jemeńskiego. Zaciągnęli się ochotniczo do armii izraelskiej i walczyli ramię w ramię w ciągu kampanii synajskiej.



OKIEM OB

W dniu 30 listopada br. odbywała się zbiorowa pałacu watykańskiego. Wśród 3.000 zgromadzonej organizacji NATO, (od lewej do prawej): gen.

Ojciec święty zatrzymał się przy wo



Scena z granicy węgiersko-austriackiej (jeszcze w Andau): Oddziały sowieckie zniszczyły most na uchodźcom drogę do wolności. Uchodźcy muszą się przez s

OBIEKTYWU

... audyencja u Ojca Świętego w sali konsystorskiej nadzonych pielgrzymów znaleźli się trzej funkcjonariusze): gen. Byers, brytyjski gen. Eastcourt i admirał Cicier. ... wojskowych, wital się z nimi i rozmawiał."



Polski zespół szermierczy zdobył srebrny medal na Olimpiadzie w Melbourne. (Węgierski zdobył złoty medal, trzecie miejsce zajęła grupa sowiecka.) Zdjęcie nasze przedstawia polskich szermierzy w chwilę po otrzymaniu medali.

Ostatnie tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia są we Francji okresem przyznawania nagród literackich. Jedną z najgłośniejszych jest nagroda Goncourtów, którą przyznaje dziesięcioosobowe jury, złożone z najwybitniejszych pisarzy i krytyków Francji, a zbierających się dla przyznania nagrody na obiedzie w słynnej restauracji Drouant'a. W roku bieżącym nagrodę Goncourtów otrzymał (8 głosami na 10) młody pisarz, Romain Gary za powieść „Les racines du ciel”. Zdjęcie nasze przedstawia część jury przed rozstrzygającym obiadem. Od lewej do prawej: — Philippe Heriat, Gerard Bauer, Armand Salacrou, Pierre Mac Orlan, siedzą: — André Billy, Roland Dorgeles i Francis Carco.



...eszeze po stronie węgierskiej niedaleko miejscowości ... most na rzece granicznej, aby uniemożliwić węgierskim ... muszą przechodzić drogę w pław, lub ryzykować przej- przez szczątki mostu.





Na kalabryjskim wybrzeżu we Włoszech, niedaleko miejscowości Crotona, przed kilku wiekami wznosiła się bogata kolonia grecka. W pewnym okresie morze podmyło wybrzeże i pochłonęło znaną z piękna starożytną świątynię Hery Licynii. Grupa eksploratorów przystąpiła ostatnio do badania w tym miejscu dna morskiego. Znaleźli wiele spoczywających na dnie skarbów sztuki. (Nasza fotografia przedstawia nurka Ruggero Januzzi w chwili znalezienia starożytnej amfory). W poszukiwaniach swoich natrafili nie tylko na resztki świątyni, ale wpadli na ślad leżących opodal szczątków zatopionego miasta rzymskiego.

Scena z niedawnych zdarzeń na pustyni Synaj: dwóch żołnierzy żydowskich na wysuniętej placówce. Są to dwaj bracia bliźniacy Zachariusz i Saadiusz, pochodzenia jemeńskiego. Zaciągnęli się ochotniczo do armii izraelskiej i walczyli ramię w ramię w ciągu kampanii synajskiej.



OKIEM OBIEKTYWU . . .

W dniu 30 listopada br. odbywała się zbiorowa audiencja u Ojca Świętego w sali konsystorsjalnej pałacu watykańskiego. Wśród 3.000 zgromadzonych pielgrzymów znaleźli się trzej funkcjonariusze organizacji NATO, (od lewej do prawej): gen. Byers, brytyjski gen. Eastcourt i admirał Cicier. Ojciec Święty zatrzymał się przy wojskowych, wital się z nimi i rozmawiał. . .



Polski zespół szermierczy zdobył srebrny medal na Olimpiadzie w Melbourne. (Węgierski zdobył złoty medal, trzecie miejsce zajęła grupa sowiecka.) Zdjęcie nasze przedstawia polskich szermierzy w chwilę po otrzymaniu medali.

Ostatnie tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia są we Francji okresem przyznawania nagród literackich. Jedną z najgłośniejszych jest nagroda Goncourtów, którą przyznaje dziesięcioosobowe jury, złożone z najwybitniejszych pisarzy i krytyków Francji, a zbierających się dla przyznania nagrody na obiedzie w słynnej restauracji Drouant'a. W roku bieżącym nagrodę Goncourtów otrzymał (8 głosami na 10) młody pisarz, Romain Gary za powieść „Les racines du ciel”. Zdjęcie nasze przedstawia część jury przed rozstrzygającym obiadem. Od lewej do prawej: — Philippe Heriat, Gerard Bauer, Armand Salacrou, Pierre Mac Orlan, siedzą: — André Billy, Roland Dorgeles i Francis Carco.



Scena z granicy węgiersko-austriackiej (jeszcze po stronie węgierskiej niedaleko miejscowości Andau): Oddziały sowieckie zniszczyły most na rzece granicznej, aby uniemożliwić węgierskim uchodźcom drogę do wolności. Uchodźcy muszą przechodzić drogę wplaw, lub ryzykować przejście przez szczątki mostu.



RZYMSKA HARDOŚĆ, CHRZEŚCIJAŃSKA SKRUCHA

Napisal
JAN LATERAŃSKI

Ostatnie spojrzenie. Za mną pozostał akwedukt Klaudiusza. Naprzeciw był Rzym. Powrót wydał się ucieczką.

Blask szedł z wielkiego miasta i łagodniał nowiem księżycy. Cyprysy jak maszty kołysały się na żaglu nieba.

— „O nocy jedyna, ostatnia, o nocy miłości mojej, coś słonecznego w twoich blaskach jaśnieje. Nad każdą ruiną zasłonę cieniów rozdzierasz — i truchlejąca, nagą wydajesz wrogowi. Twój księżyc nędzne domy i nędznych, rzadkich mieszkańców wtyka szyderstwa promieniem.“ Słowa Irydiona uwieźli pejzaż nędzny.

Współczesność odnawia się w antyczności — oto czas Italii. Czas zawsze ten sam, którego wieczną ciągłość odkrywają malarze i poeci.

Wracam do miasta z dzielnicy nędzy, od ludzi z baraków, rąk bez pracy. Akwedukt Klaudiusza.

Gdy Rzym upadł, wróciły tu wilki, przyszli rozbójnicy. Wróciły zwierzęta, wkroczyli ludzie na wzgórze bogów — Kapitol.

Potem był czas zachwytów patetycznych i teatralnych zachodów słońca w „pejzażach z ruinami“ — miłośników klasycyzmu. Wreszcie wierszowane podróże romantyków, które w podziwie księcia poetów, Goethego, zamknęły „fikcję artystyczną“ a nie rzeczywistość, która w tym kraju ma profil nędzy.

Rozwartym zrębem muru akweduktu, cieknie poświęta księżycowa. Szmer wody przepadł w stuleciach. Cisza. Cisza gwiazd na tajemnicy nieba. Tylko szmer ludzkiej krzywdy, rąk bez pracy, życia pod murami — płynnie. Rwie nienasyconym pragnieniem, lo-



Colosseum i Łuk Konstantyna Wielkiego.

Piranesi

dowatym buntem. Ile tu ich jest? Wydziedziczonych mieszkańców Wiecznego Miasta. Tysiące! Akwedukty odżyły.

Rwie, przecieka żywa woda do miasta Cezarów, Papieży i Demokracji. Woda, która nie gasi pragnienia i nie chłodzi utrudzonego żarem słonecznym ciała.

Bunt ruin antycznych, które w posiadanie wzięli ludzie.

‡ ‡ ‡

Czytał Liwiusza. Kochał Rzym starożytny, nie jak muzeum pamiątek lub nieziszczalne marzenie. Nie rozpacział nad marnością ludzką i kruchością cesarstw. Rzym był cesarów i jego ojczyzną. Był architektem, który nie budował i nie odtwarzał.

Nazywał się G. B. Piranesi, był rysownikiem, sztycharzem — tworzył.

W pasji artysty i człowieka do antyczności — przedłużył i zamknął dawno przebrzmiałe Odrodzenie. Wzbogacił je powiewem niezamierzonego romantyzmu. Czy był rozczarowanym architektem? To pewne, że miał namiętność archeologa i poetyczność malarza weneckiego. Studiował sztukę grecką. Vitruwius i Palladio przydał skrzydeł konstrukcji i wizjom architektonicznym.

Gdy stanął w Kampanii rzymskiej, drgnęła ręka artysty w głuchym pustkowiu ruin na horyzontach. W parę dziesiątków lat potem wielki poeta romantyczny powie: — „Stanąłeś w Kampanii rzymskiej. Przed twoim wzrokiem ona nie ma czym zakryć hańby swojej. Gwiazdy migają, jak tysiąc złotych wspomnień i urażeń. — Czarne wodociągi, idąc ku miastu, nie znachodząc miasta, stanęły“. W tej tragicznej przestrzeni narodzi się wizja heroicznej historii.

Nie był malarzem, a jego akwaforty, czarno-białe poematy, są pełne światła i barw. Perspektywa, która jest grą skątołów, wyniosła rysunek ruin w bryły monumentalne na przestrzeniach nieba, które przybrało oblicze wszechświata.

Tak przybrał w patos i potęgę — kamienie pałaców, które od stuleci przemieniały się w proch.

Studium światłocienia Rembrandta przydało jego architektom blasków, które na czerniach cieni płoną światłami przebrzmiałych tryumfów.

Z „Kaprysów“ Tiepola wyprowadził jasność i bezmiar swych nieb i szerokość horyzontów. Pejzaże Canaletta nauczyły go jak należy rysować profil przestrzeni. Gdy rysuje formy architektur, wydaje się, że niszczy ich konstrukcję, wypruwa wnętrza, mierzy kamień po kamieniu, dzieli i wznosi jednocześnie, poszerza w planach perspektywy, w hojności wymiarów i olimpijskim świetle nieba.

‡ ‡ ‡

Turyści, estetycy romantyzmu, szukali imperium, znajdowali „muzykę buffo na grobie Scypiona lub kapustę do sprzedania na Forum“.



Ruiny Forum Romanum

Piranesi

Poeta ruin, Krasinśki, na krzyżach w ruinach dopisał słowa: „Wszelka moc bez miłości ginie...”

— „Irydion”. Szatan obiecuje: „zniszczy czas, uspi Irydiona i obudzi, gdy z Rzymu zostanie ruiny”.

Jakie duchy Rzymu cesarów, złotym snem przesypały oczy Piranesiego, aby zbudzony w siedemnaście stuleci tak opiewał jego potęgę?

Polemiczny i gwałtowny w wypowiedzi twórczej. Subiektywny w metodzie. Jego szczerość, wytrwałość, nieroztropność są z innego wieku.

Do Włoch przyjeżdża tysiące cudzoziemców. Zgłębiają sztukę i biorą nauki od samych Włochów. Piranesi pozostał czystym Włochem, a nade wszystko Rzymianinem. Po odchodzących barbarzyńcach pokazuje po raz ostatni nie mity minionej chwały, ale jej rzeczywistość. Potęgę przeobraża w sztukę.

Wejdzmy między fikcję jego pejzaży, na via Appia, Fora imperialne. Porozmawiajmy z jego postaciami, które w gwałtownych i dramatycznych gestach, ożywiają i poszerzają horyzonty. Czy jesteśmy zwycięzcami?

Objęło nas pulsujące życie — życie, które z cieni jak noc głębokich, zwyciężyło opuszczenie, samotność, ruinę i jaśnieje na murach światłami historii i majestatu.

‡ ‡ ‡

Południe. Siedzę w kawiarni, która się nazywa „Colosseo” a naprzeciw sterczy kamienne Colosseum, dalej bielą się łuki tryumfalne Konstantyna i Tytusa, potem wzgórze Palatynu w zieleniach. Powtarzam urywek poematu Rimbauda:

„Na sprzedaż zaludnienia i migracje, sporty, czarnoksiężstwo i doskonały komfort, hałas, ruch i przyszość — jakie uczynią.”

„Na sprzedaż zastosowania rachunku i skoiki niesłychanych melodii. — Odkrycia i pojęcia niepojęte — nagłość posiadania.”

„Na sprzedaż ciała, głosy, bogactwo ogromne i niezaprzeczalne, to, czego nie sprzeda się nigdy. Kupcy nie zakończyli jeszcze wyprzedaży. Komiwojażerowie nie zdają rachunków tak wcześnie.”

Rzym nowoczesny, codzienny. Turyści — tysiące turystów. Samochody. Autokary. Przewodnicy wielojęzyczni. Krzyk i hałas.

„Chleba i igrysk!” — Chleb jest higienicznie zapakowany w torebki nylonowe. Antyczność na sprzedaż za bilet wstępu. Ruiny imperialne. „Zabytki narodowe”. Ratunek deficytu państwa. Fora, łuki, kolumny.

Wyczyszczone, wymyte, polatane. Oświetlone. Odgrudzone i objaśnione. Opieczętowane — wśród marmurowych bogów, łóż cesarskich, świętych dróg, koło przedśionków świątyni — płomiennymi, czerwonymi stemplami „Coca-Cola”.

‡ ‡ ‡

W Colosseum wznosi się krzyż. Czarny, drewniany. Nikły w ogromie rumowiska. Osiemnastoletni Krasinśki zachodził i modlił się pod nim.

Wzrokiem „Irydiona” oglądał poeta rozgrom, patrzył na obracające się w pył ruiny imperium. W wierszu do żony, błogosławił Polskę i, jak Irydion powie, „że uwierzyła wśród czasów zawiei — w nadzieję — przeciw samej nadziei”.

Krzyż stoi.

Jan Laterański

Na okładce:

Correggio — ŚWIĘTA NOC

NASZE SPRAWY

OSTOJA POLSKOŚCI

napsał POLONUS

Jak rzadkim i jak cenionym skarbem jest na emigracji — babcia! Babcia dla dzieci, a matka, teściowa, lub świekra dla dorosłych!

Przyjechaliśmy na emigrację na ogół — samotnie. Szczęśliwcy pomiędzy nami zdołali przywieźć lub sprowadzić swoje żony i dzieci. Inni — kawalerowie i panny — zjawili się tu w pojedynkę i założyli rodziny już na obczyźnie, żeniąc się po wojnie. Matek — nie przywiózł prawie nikt.

Jakże szczęśliwi są ci, którzy je tutaj mają! — Pomijam już wzgląd uczuciowy, wzgląd niłości dla matki, który jest tak oczywisty, że o nim nie trzeba w ogóle mówić. Są szczęśliwi także i ze względów praktycznych.

Nikt na emigracji nie narzeka na teściową i świekrę. Zaginęły w tutejszym naszym społeczeństwie bez śladu tak rozpowszechnione ongiś, zwykle głupie i niesmaczne dowcipy na temat teściowej. Każdy rozumie, że teściowa, czy świekra jest — skarbem.

Oczywiście tarcia i konflikty mogą się zdarzać i dzisiaj. Są one rzadkie, lub częste, w zależności od dobroci, taktu i rozumu — ludzi. Rozumna matka zdaje sobie z tego sprawę, że w młodym małżeństwie panią domu jest jej córka, czy synowa, a głową rodziny jej syn, czy też zięć — i nie będzie im się ze swoją osobą narzucać. Młodzi muszą dopasować się do siebie, muszą nauczyć się być małżeństwem, być panem i panią swego domu. Trzecia osoba, wtrącająca się między nich, choćby nawet przyjazna i kochająca, tylko wywołuje konflikty. Młodzi muszą urządzić sobie życie według własnego gustu, a gust ich może się w tym lub owym szczególe od gustu matki różnić. Muszą nabierać jako stado doświadczenia — a doświadczenia nabywa się także i przez popełnianie nieuniknionych błędów. Nie mogą uniknąć także i pokłócenia się czasem — i muszą to załatwić sami z sobą, w cztery oczy, bez świadków, wygadać się, wypłakać się i pogodzić się w końcu, nie dlatego, że ich ktoś do tego nakłania, ale dlatego że zgoda wyłoni się z własnego impulsu ich serca. Zarówno matka, która z dobroci swej chce ułatwić dzieciom życie przez podawanie im pomocnej dłoni i wtrąca się wskutek tego w zbyt wiele szczegółów ich życia, jak i matka, która sieje intrygi, buntująca syna przeciwko synowej, czy córkę przeciwko zięciowi, działa na szkodę zarówno dzieci jak własną: dzieciom utrudnia życie z sobą i zrośnięcie się w nową, samodzielną rodzinę, a dla siebie zapracowuje na niechęć istot przeciw sobie najbliższych. W pierwszym okresie życia młodego małżeństwa rozumna matka stara się nie narzucać

się dzieciom, a już zwłaszcza: z nimi nie mieszać.

Ale za to jakąż wielką rolę zaczyna odgrywać wtedy, gdy pojawiają się — wnuki!

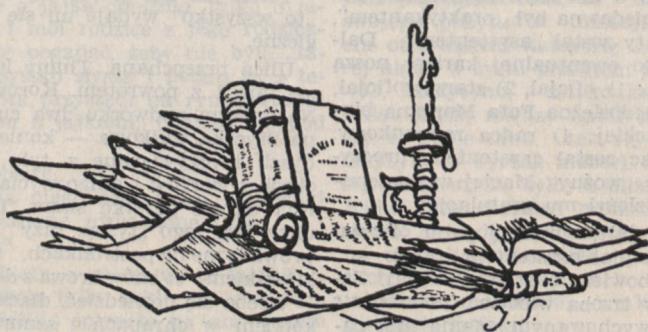
Na emigracji nie bywa służących, nie bywa nianiek. I nie zawsze młoda matka może zrezygnować z pracy zarobkowej. Babcia staje się wówczas ostoją i podporą domowego ogniska.

To ona pilnuje dzieci, gdy młodzi rodzice wybierają się do kina. To ona prowadzi gospodarstwo, gdy młoda matka leży w położu. To ona zastępuje tę młodą matkę, gdy musi ona pracować. To ona staje się duszą rodziny, filarem podtrzymującym polskość, przedstawicielką tradycji. Dzięki niej, dzieci mówią wyłącznie po polsku, to ona opowiada im stare wspomnienia o polskiej wsi, polskim lesie, dawnych polskich wojnach, dawno umarłych prababciach. To ona czyta im „Pana Tadeusza” i „W pustyni i w puszczy”, to ona, więcej niż matka, pilnuje ich pacierz. To ona koresponduje z Krajem, utrzymuje żywą łączność z całym mnóstwem cioł i kuzynek, podtrzymuje nie zrywające się nici stosunków rodzinnych, to ona umie smażyć polskie konfitury, piec chróst, gotować flaki po polsku, to ona szyje dzieciom nowe koszulki, przyszywa zięciowi guziki i ceruje skarpetki, utrzymuje w porządku rodzinne fotografie. Gdy mieszka z synem, czy córką — jest duszą domu. Gdy mieszka oddzielnie — przychodzi często i jest upragnionym gościem. Gdy sama zarobkuje — z reguły dzieciom pomaga pieniądze. Gdy zarobkować nie może — nie jest odczuwana jako ciężar, bo obecnością swoją umożliwia pracę zarobkową córce i jest w gospodarstwie ogromną pomocą przez zajmowanie się w nim tysiącem spraw.

Nie ma dużo babć na emigracji — ale jednak tu i ówdzie są. Jakąż są otoczone czcią! Jakąż władzę duchową sprawują! Jak odmiennie, bardziej po polsku, bardziej starodawnie, bardziej patriarchalnie wygląda życie rodzin, które mają szczęście je posiadać! W zurbanizowanym życiu polskiej emigracji w Anglii przeciętny polski dom wygląda trochę jak angielski hotel. Ale tam, gdzie jest babcia — wygląda on jak zakątek Polski, jak oaza polskość, jak domek przeniesiony tu żywcem z Krzemieńca, Nowego Targu, Miechowa czy Kruszwicy.

Na zapytanie, dla kogo na emigracji mam największy szacunek, kogo najbardziej lubię i cenię i na kogo najbardziej jako na ostoję polskość liczę — odpowiadam bez wahania: na babcię.

POLONUS





UMARŁA BABKA W SKAWINIE..

Napisał ANATOL KRAKOWIECKI

— Dziń dobry pani respycjentowej!
 — Dziiiiń dobry panu starszemu oficjaloowi...
 — Ze tyż pamdziejaszku, pani respycjentowa dobrodzika z każdym dniem młodziej wygląda...

— Pan rewident zawsze w żartobliwym usposobieniu... — to „iwem” brzmi bardzo wyraźnie, jaki „iwem”, a nie „iwym”; to magiczne „e” oddziela, odgranicza osobę mówiącą od „pospółstwa”.

Pan „starszy oficjał”, który w drugim zdaniu awansuje galopująco na „rewidenta” kryguje swą niepokazną postać i składa ukłon o przedziwnej zawziętości i płynności ruchów — rozległy, głęboki, zamaszty. Ukłon sam w sobie mistrzowski, skomplikowany bardziej niż klucz wiolinowy w nutach, ale do niego w strukturze i w liniach gestu zadziwiająco podobny. Niezmiernie wysokie kolnierzyki o ostrych szpicach, tak zwane „Vatermoerdery” sprawiające, że właściciel ich miewa stale wybaluszone, jak w chorobie Basedowa oczy, oraz wspomniany styl ukłonów, zjednuje panu Ignacemu sympatię całej Skawiny:

„Pan Ignac jest najlepiej wychowanym” — mówi ta opinia — „młodym człowiekiem”. I zaraz następuje: „Ma pozycję”, co czasem brzmi mniej więcej, jak: „Mo pozycyjom”.

Pan Ignac — w Skawinie istnieje tylko imię „Ignac”, a nie ma imienia „Ignacy” — jest urzędnikiem w miejscowym Urzędzie Podatkowym. Do niedawna był „praktykantem”, przed dwoma laty został „asystentem”. Dalsze szczeble jego ewentualnej kariery noszą uroczyste miana: 1) oficjał, 2) starszy oficjał, 3) rewident i niedosiężna Fata Morgana biurokracji austriackiej: 4) radca rachunkowy. Kiedy pan Ignac został asystentem, uroczyste wyprężony woźny Maciej w następujących słowach złożył mu gratulacje:

— Panie oficjale, winszuję panu oficjaloowi, że pan oficjał asystentem został.

Tytułuje się bowiem o stopień wyżej. Zawsze! Te rzeczy trzeba wiedzieć, inaczej nie jest się dobrze wychowanym. Mama lubi pana Ignaca, więc awansuje go o dwa stopnie,

a ponieważ mamie sypnął komplement, mama z wdzięczności rozpędza się zanadto i awansuje go w drugim zdaniu aż o trzy „rangi”! Jeżeli pan Ignac za dziesięć lat będzie „rewidentem”, to będzie bardzo dobrze.

Idziemy dalej. Mama naprzód, ja za nią, lub z boku.

— Dziń dobry pani respycjentowej!...
 — Oooo! Dziiiiń dobry panu burmistrzowi...
 — Jak panienka, jak Pana mego, panidzika, jak panienka!

I tak co krok. Nikt nie mówi: dzień, wszyscy: dziń. Mamine „dziiiiń”, cedzone jakoś zadziwiająco przez zęby, jest zawsze przedłużone, raz bardziej, to znowu mniej. Im bardziej jest ciągnione, tym ma być wytworniejsze. Takie o jednym tylko „i” jest po prostu zbyciem.

W domu mówi się „dziecie”, a nie „dziecie” i „dziwczę”, a nie „dziewczę” — jest „dziwczę”, ale jest wyraźnie „dziewczyna”. Wszystkie pochylone samogłoski mówi się wyraźnie, na przykład: „nima”.

Mama idzie naprzód, a ja za nią, lub koło niej — różnie.

Jest czwartek, to znaczy jarmark. I jeszcze długo „zwartek” będzie dla mnie równoznaczny z jarmarkiem, a „jarmark” z czwartkiem. Kiedyś miałem być zapytać:

— Mamo, dlaczego w Podgórzu czwartek jest w piątek?

Teraz już tak głupio się nie zapytam, ale „to wszystko” wydaje mi się dziwne i nielogiczne.

Ulica przepchana. Tłumy ludzi pchających się tam i z powrotem. Korowody furmanek. Na naszym podwórku dwa cudze wozy i jedna bryczka wujkowa — konie wyprężone od dyszli i przywiązane z tyłu wozów chrupią obrok z worków i długo wyciągając szyje usiłują ukraść garstkę siana. To u nas, a na ulicy jest tego „tysiąc razy” więcej. Krowy prowadzone na postronkach, świnię pędzone kijaszkiem, to znów krowa z deską na oczach — trzeba się dowiedzieć, dlaczego, to byczek z kółkiem w chrapach i sznurem uczeponym do tego kółka i również z deską na oczach —

dlaczego? Maciora uwiązana za nogę, idzie popędzana okrzykami i lekkimi uderzeniami gałązki, warchlaki niesione w workach kwiczą przeraźliwie — kilka kóz, stadko owiec. Oszałale z podniecenia psy przemykają pomiędzy nogami, że mało człowieka nie przewrócą.

— Hooop! Hooop! Hetta, Lyso, hetta! Hooop!

Tłum rozstępuje się z niechęcią, ażeby przepuścić wóz zaprzężony w parę gniadych koni.

— Hetta! Hetta!

Uśmiecham się do powyższych słów i do całego dopiero co nakreślonego obrazka. Przede mną maszyna do pisania, za nią okno, a za oknem wzgórze. Podniosłem głowę znad maszyny, opuściłem ręce i patrzę na te zielone wzgórza. To całkiem, jak u nas, jak koło Skawiny. Ot tam, za tamtym wzgórzem mogłyby być Falbówki. Nie, oczywiście nie ma ich tutaj, skoro są w jednym tylko jednym miejscu na kuli ziemskiej. One są za innym wzgórzem schowane. To tutejsza jest angielskie, to wzgórze w hrabstwie Kent.

— Wiooo! Hetta, hetta!

Piszę po latach to wspomnienie. Powiedzmy, po czterech dziesiątkach lat. Czterdzięci lat minęło, a obrazek wygląda, jakby wzięty sprzed stu! Nie, to nie jest rok 1850, ani nawet 1880, to rok — powiedzmy — 1910. Mianowicie ów jarmark w Skawinie, który opisuję.

Spod kopyt, spod racic, spod nóg ludzkich wznoszą się tumany pyłu. Ulice przecięz nie brukowane — gdzieniegdzie tylko fragmenty trotuaru, fantastyczna inowacja. Chmury pyłu i zapachów. Zaduch stajni, potu ludzkiego i zwierzęcego, załuch jarmarku.

— Hetta, hetta!

W tej chwili rżę, jak młody koń na jarmarku w Skawinie, ja, stary koń, rżę ze śmiechu, takie to wszystko jest zabawne.

Oto w owych opisywanych właśnie przeze mnie czasach, ojciec wybierał się do Myślenic. Konferencje trwały kilka dni. „Do Myślenic kolei nie ma” — mówiło się, potrząsając z politowaniem głową. Wreszcie, niedługo

po północy, zaprzągnięto naszą parę koni Wilka i Kubę (co to chodziły krok w krok) do bryczki, przed świtem odbyło się pożegnanie, tata wsiadł i o szarym świecie bryczka pojechała. Do Myslenic! Bo ja wiem — może dwadzieścia, może dwadzieścia pięć kilometrów. Mama cały dzień chodziła uroczysta na znak, że to były doznaje niepokoju i cały dom był podekscytowany — mówilo się albo szeptem, albo bardzo głośno. Zartuję sobie oczywiście teraz, ale mam wrażenie, że tata w ostatniej chwili przejrzał jeszcze testament (na wszelki wypadek), ale to już chyba nie żart, że w przeddzień był u spowiedzi i u Komunii świętej? Coś mi się tak zdaje.

Usypiałem, kiedy powracająca bryczka wjechała na podworec. Tata wrócił calusienki, ale pono na mocnym gazie. Nic nie pamiętam, tylko światła latarni na podworcu, turkot bryczki i okrzyk Józefa:

— Hetta, hetta!

A potem usnąłem. To, co napiszę zaraz, nie śniło mi się w żadnym marzeniu sennym — ani wtedy, ani nigdy potem, ani nocy dzisiejszej. Przeżyłem to na jawie:

Bezpośrednio na tajnę nasypane zwały odłamków skał, skruszelisk kamiennych i rzeczno-żwiru — to „droga”, która powstaje. Opodal coś, jakby „polana leśna”. Piszę to w cudzysłowie, bo polaną trudno to nazwać — po prostu ogołocony z krzewów kawałek tajgi, spod której wygląda skalna podłoga. Ustawiono tam kilka stołów i przy nich urzęduje komisja, złożona z ludzi w mundurach NKWD — rejestrują konie jakuckie.

Drogą, Jakut mocno siedzący w siodle, prowadzi kilka innych koni. Spędza je w tajnę, w kierunku owej rzekomej polany i owej urzędującej komisji. Słyszę jego okrzyk, którym kieruje końmi i zdaje mi się, że śnię. Ale nie ma wątpliwości — okrzyk brzmi dokładnie:

— Hetta, hetta! Wioooo!

Nie, nie ma mowy o jakimś złudzeniu akustycznym. Usłyszałem i potem jeszcze raz sprawdzone w innych okolicznościach: brzmi dokładnie tak samo, jak na ulicy w Skawinie, lub na drodze do Radziszowa — piszę o tym w „Książce o Kołymie”. Ale nie piszę w niej o innych doznaniach słuchowiskowych, bo wyrosły one poza ramy książki.

Uzbekistan. Karszi, Guzary lub Jakobag — miejscowość obojętna. Bo — może Czirakczy? Jedzie „arba” ciągniona przez konia. Jest to pojazd na dwóch olbrzymich kołach, dyszle przyczepione do uprzęży. I znowu nie ma mowy o złudzeniu akustycznym! Uzbek w czapie futrzanej na głowie i w futrze odwróconym włosieniem na zewnątrz — choć upał jest taki, że mógł się w czasie poci — krzyczy:

— Hetta! Hetta!

Patrzę, sprawdzam. Jest we mnie niedowierzanie i coś w rodzaju zgorznięcia. Ale Uzbek krzyczy: „hetta”, a koń skręca i skręca... w prawo! Całkiem jak na drodze z Kręcina do Skawiny. Jak się już w Borku Szlacheckim wyjedzie na szosę, to „hetta” oznaczało w prawo, do Skawiny, a „wišta” skierowałoby konie w lewo — do Zelczyny i Wielkich Dróg.

I, żeby już wyczerpać temat, przenieśmy się znów o dalszych kilka tysięcy kilometrów, do Iraku. Może to było w Dżaluli, może w Kirkuku, a może w Bakubie, lub Feludży. Ale najpierw w Kirkuku i w ogóle gdzieś w gorach. Tym razem Kurd — uważacie, autentyczny Kurd z Kurdystanu! — drze się:

— Hetta, hetta!

Znowu sprawdzam, znowu koń skręca w prawo!

Na tle całej tej opowieści o tzw. „ciepłych (zanadto ciepłych!) krajach”, do których nie należy doliczać Kołomy, należałoby — choć-

by mimochodem — sprawdzić emancypację rodu Krakowieckich. Wyjazd taty do Myslenic i refleksje syna, który, jakby z rękawa, sypie Jakutami, Uzbekami, Kurdami, a tyśiące kilometrów polyka, jakby to były kieszki jarzębiaka. Chciałoby się splunąć poza siebie i rzec z obrzydzeniem:

— Tfu! Na psa urok!

Słuchowisko:

Poryk krów, beczenie cieląt, bekoryk, czy rykobek jałówek i byczków, które najwidoczniej przechodzą mutację, staccato kóz, kwik prosiąt, rżenie koni, wrzaski woźniców, piskliwe klótnie targujących się kobiet, stentorowy głos sprzedawcy zachwalającego płyn do usuwania wszystkich bez wyjątku plam, cztery katarynki grające każda co innego, wrzask węzów kolorowych, nadmuchiwanym przez dziecinne policzki, palba batów, huk kapsli, chichoty dziewcząt, kilka tonów piszczałki — i znów kilka tonów — basowe bekoryki parobczaków, którzy na pewno przeszli mutację, coś jakby śpiewy, rozsadzające ściany szynków Toty, Tischa, restauracji Kotulskiego — symfonia jarmarku.

Widowisko:

Białe, szare, kolorowe, a wszystkie brudnawe i wypelzłe, płachty straganów, drewniane, oczerniałe budki, barwne chusty kobiet, zapaski, gorsety, naszywane świecidełkami, różowe gałki zamoczonych sznurów koralu, szare odzienia mieszczuchów, czarne sylwety kupców żydowskich w jarmułkach na głowach i w jupicach do kostek. Gdzieś tam jakaś „pani”, koniecznie „cienka w pasie, jak osa”, bo oczywiście w gorsecie — ostatnia moda: przed 15 laty Paryż, przed 10 Wiedeń, przed 5 Kraków, a w tej chwili Skawina! Pełno kobiałek, koszów, koszyczków, torebek, rozdymające się węże papierowe...!

Nie nie podstawię się pod tamtego smar-kacza, idącego z matką przez rynek w Skawinie. Nie moglibyśmy się teraz w żaden sposób porozumieć, nie mamy z sobą nic wspólnego. Z odległości 40 lat patrzę na niego i piszę, tak, jak zapamiętałem. Opisuję go tak, jak go sobie przedstawiam. Jedna rzecz jest pewna: jestem od niego starszy o 40 lat, wszystko inne jest właściwie niepewne. Nie, przepraszam, jeszcze jedna rzecz jest na pewno pewna: mając 9 lat, można było w czasie jarmarku w Skawinie oszaleć z zachwytu!

— Moście-wy!

W ten sposób przemawiało się do kobiet wiejskich, niektórzy mówili: do bab. Pewnego razu przyjechali do nas w odwiedziny jacyś znajomi rodziców. Z nimi taki idiota w dekiaku na głowie, z trzema paskami na kołnierzu — trzecioklasista. A ponieważ ja byłem też w trzeciej, ale powszechnej, zaczął się na mnie odgrywać. Myny stroił, la-fi-ryndę (właśnie nauczyłem się tego słowa) strugał ze siebie. I właśnie był czwartek i poszliśmy do miasta, a mamusia kazała mu się dowiedzieć, po czemu jajka, ale to nie była prawda, bo nie o jajka chodziło, tylko o jakąś tajemnicę i moi rodzice z jego rodzicami chcieli sobie pogadać, żeby nie było „takich, co to wszystko słyszą i potem są z tego plotki”. Idiota przyszedł na rynek, stanął przed koszykiem z jajkami, podparł się pod boki i zaczął:

— Proszę kobiety...

Popatrzyły na niego oczy szare, w równej mierze zaniepokojone, rozbawione i złe:

— Zeee cooo?

— Proszę kobiety, a po czemu te jajka?

Rzucone zrecznie jajko pękło mu w samym środku czoła, żółtko spłynęło na nos, potem na brodę. Kto mógłby się nie śmiać? I do tego na całe życie został: „Proszękobietą”!

Toteż w tej chwili przystanąłem, bo usłyszałem znane, szyderskie:

— Zeee cooo?

— Jakaś „pani” trzyma drewnianą łyżkę. Kobięcina w „tynieckiej” chuście — inne chusty ma Tyniec, inne Radziszów, inne Sidzina, czy Korabniki — zaczerpnęła z garnka (po skawiniuku: z garzka) odrobinę masła czubkiem łyżki. Paniusia teraz próbuje. Smakuje, miedli wargami, porusza policzkami, a oczy mają wyraz prokuratorski:

— Moście-wy, a ono nie kolorowane?

— Zee jaaak? — dziwi się kobięcina.

— Czy nie kolorowane? Wyglądać, dobrze wygląda, kolor mieć, ma. Ale w smaku to jakieś dziwne. Wy tak, moście-wy, marchwii trochę nie zagotowali i nie dorobili koloru?

— Cieewy! — kobięcina czerwieńnię z oburzenia — jak to wydziwio? Marchwiji ji sie kce! Jo ci dom kołur, psioparo jedna!

Paniusia się spała czymprędzej, mama mnie odciąga. To wielka zasługa mamy — gdyby mnie nie odciągała w takich wypadkach, ani połowy tych słów byłbym sobie nie przyswoił. Tymczasem kobięcina żali się sasiadce:

— Słyszeliście, kumo? Kołur! Marchwijo! O ciarachy przeklinte!

— Marchwijo, nie kuniecznie marchwijo — kumotra jest złośliwa — ale rumianek tyz do-brze robi...

Mama ciągnie mnie za rękę. Nagle puszcza ją, sztywnieje, elegancieje, wytwornieje.

— Dziń dobry pani dobrodziejce, jak pani świżo i młodo wygląda!

— Dziń dobry panu konsyliarzowi — w tym wypadku „i” ma kilometrową długość — dziękuję, dobrze się czuję, chwała Bogu...

— No, to całe szczęście... A jak tam mały?

„Mały” — to ja! Szuram nogami i mówię: — Całuję rączki panu konsyliarzowi.

— Jakże zdrowie teraz? Wakacje, co? W wakacje się nie choruje, co? Na szczęście dawno konsyliarz był niepotrzebny. A gardziółko jak?

Kilka nudnych zapytań, a potem poważne ostrzeżenie:

— Trzeba na niego uważać! Serce u niego nie całkiem, bardzo nie całkiem. Gimnastyka? Nie ma gimnastyki, nie istnieje! Slizgawka? Nie ma slizgawki, nie istnieje! Pływanie? Nie ma pływania, do wody można na kwadrans najwyżej. Uważać na siebie, nie zaziębiać się...!

O, Medycyno, wielka nauko! Czczę Cię teraz całą serią niskich pokłonów! Gimnastyki nienawidziłem, slizgawkę kochałem, a pływać nie wiem, kiedy się nauczyłem: odkąd siebie pamiętam, zawsze umiałem pływać, co prawda w stylu neo-klasycznym, skawiniukim zwanym. Co zaś do „szanowania się”, to ani ja sam zbyttno się nie szanowałem, ani mnie nie szanowała — że tak z przykrością stwierdzę — historia powszechna. Ponieważ żaden paradoks w moim bujnym życiu zdumieć mnie nie potrafi, z najwyższym spokojem przyjąłem fakt, że na samym końcu swojego pobytu w instacji zwanej PKPR-em otrzymałem kategorię „A” zdrowia, której nigdy w życiu przedtem nie miałem!

O, Medycyno, sztuko kokietująca wieczność! Ścisłe między nami mówiąc, największy w Tobie urok, że się niekiedy mylisz. Gdybym to wyraził inaczej, a mianowicie: że się lubisz mylić, byłbym bliższy sedna rzeczy. Kilka razy skazałaś mnie i odstąpiłaś bezradna. A ja oto w hrabstwie Kent, w zamku na wierzchołku wzgórze, piszę sobie o Jakutach, Uzbekach, Kurdach i o NKWD — zwłaszcza to ostatnie! — a kilometry liczę na dziesiątki tysięcy.

Niezapomniany Eskulapie! Przyjacielu dziecinnych angin i kokluszów. Byłeś dla

mnie zawsze zwiastunem choroby, bólu gardła, różnych zapaleń i mawiałeś o konieczności wycięcia migdałków. Bałem się Ciebie, ale Cię lubiłem, bo ilekroć się zjawiałeś, stawałem się w domu pierwszą osobą, mało: najpierwszą! Kazałeś zażywać jakieś straszliwe płyny, a na sobie nosiłeś jeszcze straszliwsze rzeczy. Więc te różne szczegóły garderoby na k., lub na g., jak kto woli, koniecznie długie aż do kostek i tam związane tasiemkami, te jakieś wymyślne kaftaniki, podkoszulki, wszystko bezwarunkowo wełniane!

Wypisywałeś wąskie skrawki papieru, na których u góry było wydrukowane:

Dr Stanisław NAWRAT, Fizyk Miejski król. miasta Skawiny.

To ty, Fizyku Miejski, obroniłeś mnie od gimnastyki, bo mogłaby mi zaszkodzić! A mnie pogimnastykowali zarówno pan profesor Adolf Hitler (który jednak mnie nie dopadł), jak zwłaszcza pan rektor Josef Wissarionowicz Stalin — co prawda ich system różnił się i różni w niektórych szczegółach od „czystej” gimnastyki szwedzkiej...

W ten sposób podróż przez jarmark uromaicona była różnymi spotkaniami. Co raz ktoś się kłaniał i pozdrowiał. Notable miejscowi, wgnitarze, bogate mieszczychy o szumnych szlacheckich nazwiskach, które to nazwiska nie bardzo wtedy mi imponowały, albowiem znałem ich tajemnicę. Podśluchałem...

Tu należy włożyć w opowieść pewną dygresję. Mianowicie zapytam dramatycznie: jakby wyglądał postęp świata, gdyby nie nadnaturalne właściwości młodzieży, posiadającej na szczęście indywidualnie po kilka par uszu, które muszą usłyszeć, co słyszeć nie należy, oraz po kilka par oczu, które zobaczą, czego ujrzeć nie powinny...

Otóż pewnego razu podśluchałem:

— Moja pani, moja pani, co też to tutaj szlachty narobił nieboszczyk śp. ks. kanonik Zygadłowicz!...

Na nagrobku, na cmentarzu skawińskim, wypisane wkleśnymi czcionkami nazwisko brzmiało: Zegadłowicz!...

— Święty to był człowiek, ale słyszane to rzeczy z tymi nazwiskami? Jak się Jaroniowi urodził syn, to mu ksiądz kanonik świętyj pamięci po chrzcie wielkimi literami wypisywał w mentryce (tak, tak! w „mentryce”) imię i nazwisko: Antoni Jaroniowski! No, widziała pani cosik podobnego! Stara szlachta Jaroniowscy — jeszcze spod Chocimia! A jak Rybka chrzczył małego Franusia, to mu wypisał: Rybnicki. Rybnicki, wie pani, ten z odsieczy wiedeńskiej!...

Jestem na emigracji, to sobie odważnie te rzeczy wypisują. Co mi tu zrobią? A fakt faktem, że śp. ks. kanonik Zegadłowicz — zaraz następny po Kościuszcze! — nobilitował na prawo i na lewo. Legenda powiada, że zrazu tylko synów. Po mieczu, znaczy się, nobilitował, a po kądzieli nie chciał. O córkach miał mówić:

— Jaroniowska? A po co? Niech sobie zostanie Jaroniówna! Wyjdzie za męża za Rybnickiego, to będzie miała ładne nazwisko.

Aż raz ktoś z rodziców zaprotestowało:

— A jak będzie brzydko, proszę też księdza kanonika-jegomości, i głupiego nie nojdzie, to co?

Zasumował się kanonik:

— A, to mi nie przyszło do głowy! Już to, co prawda, wy, Rybki, urodą nie grzeszycie...

I to coś, wrzeszczące w powijkach, ochrzcił na Antoninę Rybnicką!

Pomyśleć, że działo się to pod koniec ubiegłego wieku! Tylko, że w tej chwili dreszcz mnie przechodzi: ot, tobie, Anatolu, mania chlapania wszystkiego, co wiesz! Taką tajemnicę zdradzić! Nie ma dla ciebie powrotu do

Skawiny! Szlachta spod Chocimia i z odsieczy wiedeńskiej kości ci, ani chybi, połamie...

Przeładowany rynek chwieje się i szumi. To nie rynek, to statek na wzburzonych falach oceanu. Rynek? co tu gadać — nijaki. Jedna kamienica dwupiętrowa, cztery lub pięć jednopiętrowych, kilka parterowych domków murowanych, kilka zgoła drewnianych, wielki plac na rogu ulicy „Krakowskiej”, zasłonięty gnijącym parkanem. No, magistrat! Murowana buda piętrowa zakończona pretensjonalną i bardzo brzydka wieżą. Na wieży zegar ciągle się psujący, a na jej szczycie blaszana chorągiewka i herb królewskiego miasta Skawiny. W kilka lat później, w samym środku tamtej wojny, piorun wyrzucił w ten herb. Wierchołek wieży runął, a chorągiewka i kawał żelaza przemknęły ze świstem i brzękiem tuż koło mnie po trotuarze. I już magistrat do końca tak pamiętam: z odkrajaniem wierchołkiem.

Za magistratem remiza strażacka. „Niestety, dawno pożaru nie było!” — pomyślałbym wtedy obowiązkowo, gdybym był przy tym temacie. Byłem przecież wystarczająco konkretnym barbarzyńcą, poszukującym jedynie wrażeń!...

Poprzez gwar, rumor jarmarczny, hałas i cały przekładaniec dźwięków, ponad owe kłębawisko szmerów, gwarów, śmiechów, śpie-



wów, okrzyków, pogwizdów i poryków, zaczyna nagle huczeć jakiś miarowy, urywany takt. Nieee! — nadsłuchuję — nie ma wątpliwości! Gruchot, tępy łomot, miarowy takt przedziera się przez gęste sito dźwięków, przez moskiterię jarmarcznej symfonii i oto już góruje nad nią, tym bardziej, że źródło tego nowego dźwięku znajduje się gdzieś niedaleko — tylko gawieź załania.

— Mamoo! Bębnią! Może wściekły pies?

Są trzy straszliwe zaklęcia na mamę, tak straszne, że ją obewładniają: 1) dzuma, 2) wściekły pies i 3) trąd. Jak mama była jeszcze małą dziewczynką, ktoś tam z rodziny umarł na dzumę i dlatego mama umie „Ojca Zadżumionych” na pamięć. Wściekłe psy pokąsały kilka osób i zawsze to byli kuzyni i kuzynki. A trąd był już tylko tak, na dodatek, bez żadnych rodzinnych tradycji, sprawa czysto literacka, oddech dalekiego świata, czarodziejskość „ciepłych krajów”.

Dałem nura w tłum, rozgarniając go dłońmi, jak fale rzeki, a łokciami, jak fale ludzkie. Ponieważ byłem mały, zeglowałem na najnieprzyjemniejszych długościach geograficznych anatomii ludzkiej. Ale zeglowałem zwycięsko! Kilka uników, kilka chwytów, ładny crows, lekkie zanurzenie się pomiędzy czyimiś nogami i — wypłynąłem.

Stoi pełen godności pośrodku koła. Ściana ciał otacza go, jak namiot cyrkowy arenę. Ta ściana chwieje się i faluje, napierana od zewnątrz, ale się trzyma resztkami równowagi.

Niektóre postacie, zaparte obcasami w ziemię, leżą wygodnie na ludzkich ciałach rozwalone, jak dziś pasażer luksusowego samolotu pasażerskiego na swoim pochyłym fotelu.

A on stoi! Mundur na nim prawdopodobnie granatowy, nad mundurem oblicze bez wątpienia napite, a na dół tym wszystkim rogatywką na bakier. U boku w czarnej pochwie obłożonej ceratą, a może nawet skórą — szabla. Z politowaniem uśmiecham się do was, którzyście tego nigdy nie widzieli. To tylko wy możecie mnie posądzić, że osmielałem się napisać komunał — ta szabla naprawdę była drewniana. Sprawdziłem.

Zółty wąs pod fioletowym nosem. A na brzuchu bęben średniej wielkości, prawdopodobnie pęknięty od spodu, bo głucho huczy. Dwie pałki z impetem walą takt: tram-tam-tam, tram-tam-tam!

Wreszcie zainteresowanie tłumy, jego ilość i jakość, wydaje się zgoła policjantowi miejskiemu dostateczna, bo urywa, wyciąga z namaszczeniem zza pazuchy papier, nakłada na nos okulary i czyta:

— (Chrząknięcie) Obywatele, (chrząknięcie) obywatele królewskiego miasta Skawiny! Pan burmistrz i magistrat królewskiego miasta Skawiny (chrząknięcie) zawiadamia, co następuje. Podaje się do publicznej wiadomości!...

Oreddie głosi, że w okolicy chorują świny, zwane też nierogaczina... Nieciekawe, nawet nie wściekły pies! ...Wobec tego należy świnię, zwane też nierogaczina, kiedy się je prowadzi na targ, zwany też jarmarkiem zaopatrywać w świadectwa wet-wet-wetrynaryjne, zwane paszportami bydłecymi!...

— Och, jakie to nudne!

Trzeba szukać mamy! Och, mama nie zginię! Tu jest coś ciekawszego. Coś tak bardzo ciekawego, że aż dech zapiera w piersiach! O, gdyby tak zapytać tego pana, czy za czasów Kazimierza Wielkiego także tak samo w Skawinie bębniło? Te są dopiero sprawy interesujące! Ach!

Skawina, Skawina,
Miasto niezdojbyte,
Murem obwiedzione,
Snopami poszyte!

Tak podobno za czasów Kazimierza Wielkiego miał brzmieć hymn skawiński, bo tak napisał w swojej książce „ten pan”.

— Mamoo, co robiła Babetta z królem Kazimierzem Wielkim?

— Nie nudź, uczyła go języka włoskiego.

„Ten pan” napisał bowiem całą książkę pod tytułem: „Umarła Babka w Skawinie”. Pochłonąłem ją jednym tchem, jedną nocą, a noc pochłonęła całą zawartość zbiornika nafty w lampie. Do tego lampa filowała i cały pokój pełny był sadzy.

Więc według tej książki Skawina miała być kiedyś wielkim miastem. Siedem murowanych kościołów miało być w tym mieście — pod Lipkami na Jagielnej niedaleko Sidziny, też miał stać kościół. W miejscu, gdzie obecnie „Sokół”, wznosić się miały mury zamku obronnego, a w tym zamku mieszkać miała precudnej urody jedna Włoszka, Babetta, a zamek miał jej podarować Kazimierz Wielki, który do niej często przyjeżdżał na wizytę.

— Mamoo, co robił Kazimierz Wielki z Babetką?

— Nie nudź, uczył ją języka polskiego.

Według mamy był to więc związek czysto naukowy, po prostu takie miniaturowe polsko-włoskie towarzystwo wymiany kulturalnej. Co prawda niektóre poglądy autora książki na tę sprawę różniły się poniekąd od tej maminy hipotezy historycznej.

Różne bitwy bywały pod Skawiną, co opisane jest w książce. Ale Skawina była nie-

zdobyta! Były oblężenia i nic. A cały lud kochał Babetę, tylko, że mu źle było wymawiać to słowo, więc przezwali ją Babką.

A wróg, nie mogąc siłą zdobyć miasta, zemścił się przy pomocy propagandy. To podły wróg wymyślił pieśń:

„Umarła Babka w Skawinie,
A któż jej główkę zawinie?
Oj, szkoda było tej Babki,
Dawała dobrej herbatki!”

Tak było wydrukowane w książce. Ale potem się dowiedziałem, że w tej pieśńce wcale nie chodziło o „główkę”, ani o „herbatkę”.

— A gdzie pan mieszka?

— W Skawinie.

— O, czy to tam, gdzie babka umarła?

Już taki dialog był nieprzyjemny. A cóż dopiero, kiedy rozmówca zapytywał słodko:

— A co to właściwie była za babka?

O, trzeba było mieć silne nerwy do takiej rozmowy.

To było w tychże mniej więcej czasach, kiedy Wydział Krajowy we Lwowie miał wybudować w „zachodniej Galicji” zakład psychiatryczny. Istna rewolucja zapanowała w medycynie w tym zakresie. Już chyba z dziesięć lat temu zburzono szpital Sw. Ducha w Krakowie, w którym — jak mówią kronikarze — czytać można było napisy w rodzaju:

NIE DRAŻNIC WARIATÓW!

Specjalna komisja przyjechała do Skawiny oglądać grunta.

Tego już było za dużo! Zebrała się rada miejska i obradowała w panice:

— Co? Szpital wariatów? U nas? Rany Boże, taka kompromitacja! Jedziemy do cyso-

rza na skargę! Nie! Dość! My już mamy jedną plamę na historii: babkę skawinią, drugiej nie chcemy! Pięć wieków śpiewają o nas: „Umarła babka w Skawinie”, a teraz mają do nas przyjść waryjoty?!!

I w ten sposób stało się, że szpital stanął ostatecznie w Kobierzynie, co zresztą nie było chyba nie na rękę prezydentowi miasta Krakowa, Juliuszowi Leo, bo szpital stanął akurat na jego gruntach.

A co do samej książki, to była ona wspaniała! Autor jej był pierwszym autorem, na którego mogłem patrzeć bezpośrednio — koncem, a nawet środkiem swego spojrzenia. I kto wie, co to mogło mieć dla mnie za skutki...?

Wprawdzie potem okazało się, że jej nie pisał autor, tylko pan Czapkiewicz. A potem, to już był cały skandal i nawet rozprawa sądowa! Połobno to wszystko, co się miało stać w Skawinie, działo się gdzie indziej! I na dobitkę był taki pan, który się nazywał Kazimierz Gliński, który to samo napisał wcześniej. Jeszcze dziś dreszcz mnie przechodzi na to wspomnienie. Bo to z panem Czapkiewiczem mogło być różnie. Kiedy w 1918 roku przyjechałem ranny, cała Skawina przysięgała, że sobie ramię skaleczyłem na gwoździu. Taka sama prawda mogła być z panem Czapkiewiczem. Ale, niestety, był przecież sąd i potem nigdzie nie można było kupić książki, bo sąd kazał nakład zniszczyć. Ale że trochę egzemplarzy zostało, więc i ja... ,

Tak oto wała się w gruzy pałace fantazji i zamki Babetty! Chociaż mój brat Janek, który własnoręcznie budował „Sokoł”, przysięgał, że stoi na starych fundamentach i że

były tam, na tym pagórku resztki kamiennych murów:

— No, mniej niż w Tyńcu, ale trochę ruin było.

Inni opowiadali to samo.

Miałem kiedyś tę historię sprawdzić. Jakże sprawdzę, kiedy jestem emigrantem?

I tylko — wspominając owe odległe czasy — miewam chwile wątpliwości. Czy przypadkiem ta książka, we wstydzie pogrzebana, czy ona i jej autor, na którego mogłem patrzeć, nie jest przyczyną mojego zwichnięcia się, moich upadków życiowych? A przecież mogłbym dziś być rewidentem, jak pan Ignac, a może nawet radcą rachunkowym, kto wie?

A przede wszystkim — kto wie, czy na mnie nie ciąży jakieś fatum „Babki Skawinskiej”? Pisałem przecież o niej w najbardziej nieprawdopodobnej scenarii — w Bagdadzie! W stolicy bajek! W kraju, który w każdym szczególe jest inny od mojego, gdzie żółty piach leży milami, gdzie rosną głupie jarzyny, które udają drzewa, a więc palmy. Gdzie po rzece płyną statki, które przed chwilą prawdopodobnie wypadły z obrazka — z podręcznika historii dla klasy III... .

Prawo kontrastu?

Dobrze, a tutaj? Dlaczego teraz powracam do niej — samemu sobie noce kradnąc — wśród angielskiego pejzażu, który tak bardzo, tak dotkliwie, tak kąśliwie jest podobny do mojego? Co mną rządzi?

Jest noc i za oknami nie widzę wzgórz, za którym mogłyby być Falbówki.

Może mną rządzi prawo tęsknoty?

Anatol Krakowiecki

(Ilustracje A. Wasilewskiego)

OD STYCZNIA 1957 ROKU

zacznie wychodzić w języku angielskim kwartalnik p. t.

“Poland and Germany”

A QUARTERLY REVIEW

Kwartalnik poświęcony jest omawianiu zagadnień polsko-niemieckich ze specjalnym uwzględnieniem problemów granicy na Odrze i Nysie.

Celem kwartalnika jest docieranie do społeczeństw zachodnich, co może być znacznie ułatwione, jeśli Polacy mieszkający na Zachodzie będą pismo abonowali dla swych angielskich i amerykańskich przyjaciół.

Pismo wydaje:

Związek Polskich Ziem Zachodnich.

Redaguje:

Komitet Redakcyjny wyłoniony przez władze Związku Polskich Ziem Zachodnich.

Redaktor:

Józef Kisielewski.

Cena prenumeraty rocznej (4 zeszyty z opak. i prz:s.): szyl. 18/-; dol. 2.60; fr. fr. 900.

Cena pojedynczego numeru: szyl. 4/-; dol. 0.60; fr. fr. 200.

ZGŁOSZENIA NA PRENUMERATĘ JUŻ PRZYJMUJĄ:

Związek Polskich Ziem Zachodnich:

20 Princes Gate, London, S. W. 7.
(oraz wszystkie Oddziały Związku)

Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”:

12 Praed Mews, London, W. 2.

W GRUDNIU 1956

UKAZAŁA SIĘ

HISTOIRE

de

La Littérature Polonaise

DES ORIGINES AU DEBUT DU XIX^e SIECLE

par

SIMONE MARCEL

Książka ta, napisana przez młodą, utalentowaną badaczkę historii naszej literatury i entuzjastyczną wielbicielkę naszej kultury narodowej, jest pierwszą tego rodzaju próbą w języku francuskim. Daje ona obiektywny rzut oka na całość piśmiennictwa polskiego w okresie, który autorka nazywa „Polską królewską”.

Autorka pragnie gorąco, aby jej praca pozwoliła wszystkim znającym język francuski, a szczególnie jej rodakom nawiązać swobodne stosunki kulturalne między Zachodem i Polską, zerwane wskutek wypadków po ostatniej wojnie światowej.

Książkę wydaje EDITIONS DE „LA COLOMBE”
5 Rue Rousselot, Paris (7^e) i tam można ją zamawiać.

Cena wraz z przesyłką wynosi 1.200 franków fr.

W Wielkiej Brytanii zamówienia na książkę przyjmuje
KSIĘGARNIA VERITAS, 12 Praed Mews, London, W. 2.

Cena wraz z przesyłką wynosi 24/-.

GDYBY wyznaczono nagrodę za najpiękniejszy pomysł kulturalny na emigracji, musiano by ją przyznać Mieczysławowi Paszkiewiczowi młodszemu.

Gdyby przyznano nagrodę za największą miłość spraw polskich, dostać by ją powinien Paszkiewicz.

Jeśli po tysiącach polskich studentów na obczyźnie zostanie coś po latach, to album opracowany przez Mieczysława Paszkiewicza i wydany przez Zrzeszenie Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie. Jest to bowiem trwały wkład do kultury polskiej, ważny dziś i za lat kilkadziesiąt.

Mowa o „Wjeździe wspaniałym posłów polskich do Paryża” Stefana della Belli.*)

Florentyńczyk della Bella, mieszczanin, złotnik, zasłynął już za młodu w swoim mieście jako znakomity rysownik. Książę Wawrzyniec Medyceusz, zwyczajem nienasznych czasów, otoczył talent artysty opieką i wysłał go do Rzymu. Następnie Medyceusze wyprawili zdolnego młodzieńca do Paryża, skąd niebawem zasłynął na całą Europę jako jeden z pierwszych rysowników. Wywarł wpływ na Francuzów i Holendrów, tematycznie nawet na Rembrandta. Pozostało po nim 1052 rycin oryginalnych, 106 wykonanych wedle jego rysunków i 188 przypisywanych mu. Ilość ry-



Panowie Stanisław Kostka Stemburski i Jędrzej Morsztyn

*) Stefano della Bella **WJAZD WSPANIAŁY POSŁÓW POLSKICH DO PARYŻA** A. D. 1645. Opracował, wstępami i komentarzami opatrzył Mieczysław Paszkiewicz. Nakładem Zrzeszenia Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie. Londyn 1956.



Oddział piechoty biskupa Wacława Leszczyńskiego.

sunków, mimo że znaczna ich część zaginęła, przekracza znacznie ilość rycin. Znajdują się one w najsłynniejszych kolekcjach Europy: w British Museum, na zamku Windsor, w Luwrze, w Uffiziach, w wiedeńskiej Albertynie, w petersburskim Ermitażu, oraz w zbiorach prywatnych.

Już w pierwszym roku pobytu w Rzymie (1633) della Bella wykonał serię sześciu rycin utrwalających „Wjazd kanclerza Ossolińskiego do Rzymu”. Rzeczpospolita stała wówczas u szczytu swej potęgi i uchodziła w oczach świata za potęgę nie tylko polityczną, ale i gospodarczą. Bogactwo i przepych Polaków słynęły powszędą. Wjazd poselstwa polskiego do Wiecznego Miasta był wedle współczesnych świadectw wydarzeniem w dziejach cywilizacji: olbrzymią rewią polskiej kultury materialnej i duchowej na oczach świata. Nic dziwnego, że pociągnął oczy i rękę jednego z najsłynniejszych artystów epoki. Sylwetki Polaków, ich stroje, konie i zbroja urzekły della Bellę na całe życie. Będzie do nich wracał raz po raz, zwłaszcza w serii „Polscy jeźdźcy”, aby w roku 1645 opracować olbrzymi w zamierzeniu „Wjazd wspaniały posłów polskich do Paryża”. Z nieznanych bliżej powodów plan wjazdu paryskiego nie został przez artystę ukończony; pozostał w szkicach, częściowo pociągniętych atramentem, a nawet podkolorowanych akwarelą, na czternastu arkuszach. Też tych rysunków znajduje się w British Museum i aż dotąd pozostawała nieznaną historykom polskim. Mieczysław Paszkiewicz, młody i zdolny



Stefano della Bella, natif de Florence en Italie, en l'an 1614. tres bon peintre en petit, aussi fait merueilleux, en l'eau fort d'un grand esprit, tres abondant, en inventions, a fait son commencement aupres Jacques Callot, en voit quantite de ses estampes par tout.

Stefano della Bella (1610-1664)

esseista, poeta i historyk, na skutek swej skromności dotąd niedostatecznie znany, oznacza się nieprzeciętną uczciwością i skrupulatnością naukową, a nadto wprost żarliwą miłością dziejów i kultury polskiej. Za wcześnie jeszcze oceniać nawet jego rozsiane po czasopiśmie przyczynki z zakresu bliskich mu dziedzin, a cóż dopiero oryginalną syntezę „ducha dziejów Polski”, którego Paszkiewicz dopatruje się w swoście pojętym sarmatyzmie, czemu pragnie poświęcić obszerne studium.

Mieczysław Paszkiewicz młodszy (bo znany i wybitny historyk tegoż nazwiska i imienia jest kimś zupełnie innym), wiedziony ciekawością spraw polskich i zamiłowaniem do badań historycznych, odkrył tekę „Wjazdu wspaniałego” w British Museum i dzięki szlachetnej ambicji studentów polskich na obczyźnie oddał ją w ręce historyków i miłośników dziejów ojczyźnych.

Teka przynosi komplet rysunków della Belli, obrazujących wjazd dnia 29 października 1645 do Paryża posłów polskich, z wojewodą poznańskim Krzysztofem Opalińskim i biskupem wówczas warmińskim, później prymasem, Wacławem Leszczyńskim na czele, po rękę Marii Ludwiki Gonzaga dla króla Władysława IV. Rysunki przynoszą bogaty materiał portretowy postaci szlachty polskiej oraz ikonograficzny z zakresu strojów i uzbrojenia wojsk polskich w XVII stuleciu.

Album, wydany przez Zrzeszenie Studentów, zawiera prócz plansz z reprodukcjami wzorowe opracowanie Mieczysława Paszkiewicza, składające się z następujących rozdziałów: Wstęp, Życie i twórczość artysty, Dzieła polskie, Opis rysunków, Tło historyczne, Opis „Wjazdu wspaniałego” według „Zbioru pamiętników” Niemcewicza, Komentarz osobowy oraz streszczenie w. w. rozdziałów w językach angielskim, francuskim, włoskim i niemieckim. Układ graficzny i korekta bardzo staranne, niestety papier wydania popularnego lichej i nietrwały. Słuszna troska M. Paszkiewicza, że trzeba utrwałać dzieła sztuki przez ich powielanie w druku, nie znajduje pełnego zaspokojenia w studenckim wydaniu della Belli; może z niego ocalać dla przyszłości najwyżej 200 egzemplarzy bibliofilskich, 800 rozsypane się najdalej za ćwierć wieku.

Ale w każdym razie rysunki della Belli dojdą do rąk czytelników polskich dostarczając rozkoszy miłośnikom przeszłości narodowej, uzupełnią zbiory polskie i dostarczą dowodu, że młodzież na obczyźnie służy, jak umie najlepiej, narodowi.

Druk „Oficyny Poetów i Malarzy” na najwyższym poziomie dokonał tej pozytywnej placówki.

J. B.

W KAŻDYM MIESIĄCU UPŁYWA TERMIN SUBSKRYPCJI NA NOWĄ KSIĄŻKĘ „BIBLIOTEKI POLSKIEJ” DOBREGO PISARZA POLSKIEGO LUB OBCEGO. TOM OPRAWNY W PŁÓTNO — 10 SZYL. — WYDAJE „VERITAS” W LONDYNIE.

W SUBSKRYPCJI

na GRUDZIEN 1956
i STYCZEŃ 1957:

HOMER

ODYSSEJA

EPOS POETYCKI

Wydanie trzecie

w przekładzie
JÓZEFA WITTLINA

poprzedzonym przedmową
i „Elegią do Homera”
oraz zawierającym
słowniczek wyrazów archaicznych.

»O D Y S S E J A«

JEST KSIĄŻKA
PREMIOWA

„Biblioteki Polskiej”

to znaczy,

iż Abonent, który w roku bieżącym wykupił co najmniej 6 książek — będzie ją mógł nabyć w premiowej cenie szyl. 10/-, dol. 1.50), pomimo, że wychodzi ona w subskrypcji dwumiesięcznej i że cena jej

dla subskrybentów dorywczych wynosi szyl. 19/- (dol. 3.00).

ZAMÓWIENIA PRZYJMUJE

„BIBLIOTEKA POLSKA”

KAT. OSRODEK WYD. „VERITAS”
12 PRAED MEWS, LONDON, W. 2.

NAJMIŁSZY

PODAREK

GWIAZDKOWY

dla przyjaciół:

**KALENDARZ
RODZINY POLSKIEJ
NA ROK 1957**

CENA: szyl. 6/6; dol. 1.00;

fr. fr. 500 (z przesyłką).

„VERITAS”

12 PRAED MEWS, LONDON, W. 2.

OD ŚW. MIKOŁAJA DO SANTA CLAUS

Napisał JAN WEPSIĘĆ

Jakkolwiek Boże Narodzenie jest świętem religijnym wspólnym całemu chrześcijańskiemu światu, to jednak zwyczajnie pozakościelne związane z tym świętem mają charakter narodowy w znaczeniu związania się z pewnymi geograficznie i historycznie określonymi zespołami kulturalnymi. Jako formy kulturalne są przedmiotem rozwoju, tj. mają swój wiek istnienia, mogą się przekształcać i być przejmowane z jednych kultur przez inne kultury.

Przykładem zwyczaju świątecznego, który zamarł, może być chłopięcy biskup, Boy-Bishop, czy pan rozgardiaszu, Lord of Misrule, które zaniknęły w okresie reformacji. Przykładem zwyczajów nowych, jest np. zwyczaj urządzania drzewka świątecznego, który, jeśli nie brać pod uwagę terenu niemieckiego, liczy tylko nieco ponad sto lat, czy prawie mu rówieśny zwyczaj wysyłania kartki świątecznej. Przykładem przesunięcia się zwyczaju w czasie w okres emocjonalnie silniejszy i związanego z tym przeobrażenia jest zwyczaj znany jako Santa Claus, powszechny w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Anglii, przenikający do Południowej Ameryki, a nieznamy zupełnie na kontynencie europejskim.

Santa Claus jest rezultatem rozwoju, jakiemu uległa zwyczajowa postać świętego Mikołaja w Stanach Zjednoczonych w XIX w.

Postać świętego Mikołaja jest znana powszechnie w Europie, tak w kręgu kultury Kościoła rzymsko-katolickiego, jak i kultury Kościoła prawosławnego. Św. Mikołaj żył na początku IV wieku. Urodził się w Potara, w Azji Mniejszej. Rodzice ołumarli go bardzo wcześnie. Poświęcił się stanowi duchownemu. Został bardzo młodo biskupem w Mirze jako znany ze swej świętobliwości. Wyjątkową opieką otaczał młodzież, szczególnie chłopców, choć i o trzech niezamożnych dziewczętach nie zapomniał i skrycie dał ich ojcu dostateczną ilość złota, by im zapewnić posag, bez którego nie było nadziei na wyjście za mąż w tamtych czasach. Tradycja opowiada o cudach, jakie dokonały się za wstawieniem Świętego, tak za jego życia jak i po jego śmierci.

Święty Mikołaj był pochowany w Azji Mniejszej, ale według tradycji kupcy z Bari wyprawili się w roku 1084 do Azji Mniejszej zmusili mnichów pilnujących grobu Świętego do wydania im jego prochów, przywieźli je do Bari i złożyli w nowowyprowadzonym kościele. Inna wersja tradycji podaje, że kupcy weneccy przywieźli prochy Świętego do Wenecji w roku 1100 i złożyli je w kościele św. Stefana przy wyjściu z Wielkiego Kanału na pełne morze.

Kult św. Mikołaja wzrastał niezwykle szybko w Europie w ciągu XII wieku. Był on patronem Grecji, Sycylii, Lotaryngii a później i Rosji i szeregu miast w Niemczech, Austrii, Holandii, Hiszpanii i Włoszech. O sile kultu świadczyć może fakt, że w Anglii przed Henrykiem VIII było 376 kościołów nazwanych jego imieniem.

Św. Mikołaj był patronem chłopców, marynarzy, podróżników czy bankierów. Jako patron marynarzy i podróżników, znany był we Włoszech i Anglii, gdzie w Jarmouth było malowidło jeszcze z czasów średniowiecznych przedstawiające św. Mikołaja uspokajającego morze. Wyrazem tego samego kultu jest również procesja z obrazem św. Mikołaja do morza, urządzana corocznie w Bari w dniu 6 grudnia.

Jego kult jako patrona młodzieży był najpowszechniejszy i najsilniejszy i utrzymał się w Europie do dnia dzisiejszego. W niektórych miejscowościach odwiedza ten Święty również szpitale, ale zasadniczo jest on znany jako patron młodzieży. Ponieważ pamięta-



Św. Mikołaj jako patron dzieci.

(Druk włoski)

my go odwiedzającego urządzane dla dzieci wieczorki, na których przynoszą także podarunki i dla starszych dzieci od jeszcze starszych wystarczy tutaj zwrócić uwagę na kilka najbardziej charakterystycznych cech, które będą pomocne później przy omawianiu postaci Santa Claus. Są one następujące: rocznica uroczystości przypada na dzień 6 grudnia, święty Mikołaj jeździ na białym koniu, nosi biskupie szaty, podarunki daje dzieciom jako nagrodę za dobre zachowanie się albo jako zachętę do dobrego zachowania się.

Zwyczaj urządzania rocznicy św. Mikołaja utrzymał się na kontynencie europejskim, tak w krajach katolickich jak i protestanckich, choć protestanci nie uznawali Świętych Kościoła katolickiego.

W Anglii. Nieco innemu rozwojowi uległ kult św. Mikołaja w Anglii. Tutaj powstał bardzo wcześnie zwyczaj biskupa chłopięcego,

owego Boy-Bishop, wspomnianego już na początku tego artykułu. Zwyczaj polegał na tym, że młodzież szkolna wybierała w dniu 6 grudnia spośród siebie jednego, który otrzymywał wszystkie uprawnienia osoby duchownej za wyjątkiem przywileju odprawiania Mszy św. Biskup chłopięcy sprawował swój urząd od 6 grudnia do 28 grudnia, tj. do święta Młodzieniaszków. Zwyczaj biskupa chłopięcego łączył w sobie elementy związane z postacią św. Mikołaja: urząd i szaty biskupie i uczucie miłości ku młodzieży, szczególnie ku chłopcom. Zwyczaj biskupa chłopięcego był szczególnie popularny w Anglii w wieku XV, ale zaniknął w okresie reformacji. Nadużycie swobody i przywileju było niezależnie od reformacji jednym z czynników działających przeciwko istnieniu tego zwyczaju.

Father-Christmas. Kiedy zwyczaj biskupa chłopięcego zamarł w wieku XVI, jego miejsce w folklorze świąt Bożego Narodzenia zajęła postać Father Christmas, zwana także Captain Christmas. Jej literackim twórcą był Ben Jonson w utworze, który był wystawiony w Londynie w 1616 roku. Father Christmas nie był spadkobiercą biskupa chłopięcego, był uosobieniem nastroju świątecznego Bożego Narodzenia w Anglii. Personifikacji tej brakło siły, która znamionowała inne zwyczaje świąteczne; była ona raczej symbolem i stała się hasłem bojowym w walce wyznaniowej, w której w tym wypadku katolicy i anglikanie stanęli w jednym obozie przeciw tzw. wyznaniom nie-konformistycznym. Kiedy ucichły głosy walki religijnej, postać Father Christmas upodobniła się do postaci Santa Claus, importowanej do Anglii z Ameryki w końcu XIX i z początkiem XX wieku. Dziś Father Christmas jest w Anglii synonimem Santa Claus.

W Stanach Zjednoczonych. Innymi drogami poszedł rozwój kultu św. Mikołaja w Stanach Zjednoczonych. Zwyczaj ten był przyniesiony do Nowego Świata przez Holendrów, wśród których kult dla św. Mikołaja, zwanego w ich języku Sinther Klaas, był silny. Św. Mikołaj był patronem Amsterdamu. Kiedy Holendrzy zakładali Nowy Amsterdam, dzisiejszy Nowy Jork, za patrona pierwszego kościoła wybrali św. Mikołaja. Uroczystość ku czci św. Mikołaja obchodzona w Nowym Amsterdamzie w dniu 6 grudnia bardzo hucznie. Przysmakiem były specjalne ciastka, zwane „mikołajkami”. Zwyczaj był początkowo, tj. do roku 1664, kontynuacją zwyczaju holenderskiego, bo Holendrzy byli w Nowym Amsterdamzie w zupełnej przewadze. Kiedy jednak Nowy Amsterdam dostał się w ręce Anglików, i kiedy napływ Anglików, a później i innych narodowości zwiększył się, kiedy wzrastający dobrobyt pozwalał na huczniejsze obchodzenie wszelkich uroczystości a szczególnie Bożego Narodzenia — zwyczaj obchodzenia św. Mikołaja zaczął się zwolna przesuwać w końcu XVIII wieku w okres Bożego Narodzenia i zakończenia starego i początku nowego roku. Postać św. Mikołaja, owego Sinther Klaas, przesuując się w czasie zatrzymała swą główną funkcję, zwyczaj obdarowywania dzieci podarunkami, ale traciła z wolna swój charakter dostojnika

kościelnego. Środowisko religijne i kulturalnie różne zezwalało i sprzyjało takiemu przekształceniu.

W tradycji nowojorskiej w początkach XIX wieku istniało ciągle jeszcze poczucie, że uroczystość ku czci św. Mikołaja była związana z dniem 6 grudnia i że była zwyczajem związanym z Holendrami. Kiedy The New York Historical Society powstało w roku 1810, jego pierwsze zebranie dla uczczenia roli Holendrów przy założeniu Nowego Jorku odbyło się w dniu 6 grudnia. Tradycję tę, pielęgnowaną jeszcze przez szereg lat, zarzucono z czasem. George H. Moore, bibliotekarz Towarzystwa, usiłował w roku 1864 i w lat następnych ożywić dawny zwyczaj, lecz bezskutecznie. Św. Mikołaj, pod swym angielskim imieniem St. Nicholas, czy holenderskim Sinter Klaas, związał się już od połowy XIX stulecia silnie ze świętami Bożego Narodzenia.

Odmieniał się św. Mikołaj. Czas obchodzenia uroczystości nie jest jednak najważniejszą zmianą; zmiany istotne dotyczyły koncepcji św. Mikołaja. W wyniku tych przemian św. Mikołaj przehandlował gdzieś białego konia, na którym podróżował w dawnym zwyczaju, a zaopatrzył się w sianie i osiem reniferów; wymienił biskupie szaty na szkarłatną kurtkę, obramowaną białym futrem; nabył długą fajkę, tak charakterystyczną dla holenderskiego Nowego Jorku, i twarz ustylizował na wzór Father Christmas.

Wspomniane zmiany dokonywały się na początku XIX stulecia. Wskazują na to źródła literackie, rysunki i miedzioryty z tego okresu. W wydawnictwie Irvinga Knickerbrocker's History of New York (1809) św. Mikołaj podróżuje w wozie, w którym przewozi podarunki, już nie po ziemi, lecz w powietrzu. Wchodzi do domów przez kominy. W dziesięć lat później Clement C. Moore, uczony w dziedzinie języków wschodnich i greckiego, profesor The Union Theological Seminary w Nowym Jorku, utrwalił ówczesną koncepcję św. Mikołaja w poemacie „A visit from St. Nicholas”. Dzięki temu, że poemat odpowiadał ówczesnym wyobrażeniom, zyskał on popularność, a dzięki popularności upowszechnił i utrwalił nową koncepcję św. Mikołaja.

Św. Mikołaj w poemacie Moore'a przyjeżdża w nocy w szalonym pędzie w saniach zaprzężonych w osiem reniferów. Zatrzymuje się w swej powietrznej podróży koło komina. Zabiera z sanek worek z podarunkami dla dzieci i wchodzi przez komin do domu, gdzie wkłada podarunki do północnych rozwieszonych wokół kominka. Jest niskiego wzrostu, raczej otyły, o białej śnieżnej brodzie. Wygląda bardziej na postać z bajek niż na realnie istniejącą istotę. Ani śladu już z biskupiej godności, powagi i ubioru.

Zmiana imienia. Za zmianą postaci poszła zmiana imienia z Saint Nicholas, czy zdrobniałego Saint Nick na Santa Claus. Tego nowego imienia użył już Thomas Nast, z pochodzenia Niemiec, rysownik i karykaturzysta w „Harper's Weekly”. Rysunki, a szczególnie seria z roku 1866 upowszechniła w sposób wzrokowy nie tylko znaną już od czasu C. C. Moore'a nową koncepcję św. Mikołaja, która w rzeczywistości miała już niewiele wspólne z dawną koncepcją świętego biskupa, ale równocześnie i nowe imię. Późniejsze zmiany były już bardzo drobne.

♦
Santa Claus stał się symbolem miłości ku dzieciom, dobroczynności, hojności, pamięci

o związkach przyjaźni, pamięci o potrzebach pomocy czy współczucia. Santa Claus odwiedza szkoły, przedszkola, parafialne ośrodki kulturalne, szpitale itd. Prasa codzienna w okresie świąt donosi: „Santa Claus at hospital party”, „Santa brings joy to Bellevue Ward”, „Santa Claus calls at boys and girls” itd.

Santa Claus Association. Te pobudki działały przy powstaniu organizacji: Santa Claus Association, która istniała od 1914 do 1928 r. Organizacja ta otrzymywała od urzędów pocztowych listy adresowane do „Santa Claus”. Jeśli listy były wysyłane przez biedne dzieci, organizacja wysyłała podarunki, czy udzielała pomocy.

Santa Claus, jako symbol o dużych wartościach uczuciowych, został użyty w życiu handlowym celem zwiększenia sprzedaży w sklepach w okresie świątecznym. Porównanie dzienników amerykańskich sprzed 30 laty z dzisiejszymi wskazuje na ciągle wzrastające użytkowanie Santa Claus w handlu. Obecnie Santa Claus sprzedaje wszystko: od zabawek, podarunków i drobnych rzeczy codziennego użytku począwszy, do maszyn do prania i samochodów włącznie. Wskutek tego wokół Santa Claus istnieje w Ameryce cała gałąź produkcji, użytkująca drukarstwo i zdobniczo artystyczne w olbrzymich rozmiarach.

Postać Santa Claus nadaje koloryt handlowym dzielnicom miast amerykańskich w ciągu grudnia. Jako motyw dominuje on na wystawach i w sklepach. Ale niezależnie od tej papierowej reklamy, wszystkie większe sklepy zatrudniają w okresie świątecznym osoby, które odgrywają rolę Santa Claus. Miejscem, gdzie można spotkać Santa Claus, jest zwyczajnie dział zabawek. Osoby te odpowiadają również na telefony skierowane do Santa Claus.

Kurs odgrywania roli Santa Claus. Jak wielkie jest zapotrzebowanie na usługi związane z Santa Claus, może świadczyć fakt, że Charles W. Howard w Albion, w stanie New York, otworzył kursy, na których uczy się, jak odgrywać rolę Santa Claus. Są to kursy głównie dla kandydatów z dużych sklepów,

które organizują wystąpienia z Santa Claus i zabawy dla dzieci.

Firmą usługową, która powstała w związku ze zwyczajem Santa Claus, jest organizacja Santa's Helpers, założona w 1943 r. Firma ta organizuje odwiedziny przez Santa Claus w klubach, szkołach i prywatnych domach. Zamawiający odwiedziny otrzymuje długi formularz do wypełnienia dotyczący imion i wiadomości o poszczególnych dzieciach, o ich cechach charakterystycznych w celu umożliwienia rozpoznania ich i utrzymania tonu znajomości od samego początku odwiedzin.

Głosy krytyki. Mimo powszechności zwyczajają głosy krytyki i protestu podnoszą się przeciw niemu od czasu do czasu. Niektórzy katolicy upatrują w Santa Claus jedno ze źródeł zeświecczenia ducha tradycji świąt Bożego Narodzenia. Pisma periodyczne organizowały nawet wypowiedzi na temat Santa Claus. Jedną z nich podjął „Collier's Weekly” w roku 1923. Wybieramy ją, ponieważ wziął w niej udział Conrad Korzeniowski. Różne były odpowiedzi na pytanie: Co myślę o Santa Claus? H. G. Wells wymówił się od wyrażenia swej opinii ze względu na wiek: powyżej 14 lat. H. L. Mencken, żyjący jeszcze w Baltimore, opowiedział się przeciw zwyczajowi, uważając go za niemiecki wynalazek (prawdopodobnie aluzja do T. Nasta). Z odpowiedzi Conrada Korzeniowskiego przytoczymy fragment w wolnym tłumaczeniu: „W ciągu całego życia odczuwałem obcość postaci Santa Claus. Pan (redaktor) rozumie, że polskie dzieci nie potrzebują niemieckiego świętego z bajki, by odczuć świętość i radość związaną z dniem Bożego Narodzenia w sercach rzymskich katolików. Ale nie chowam w sercu uczucia niechęci ku Santa Claus, i jeśli amerykańskie dzieci chcą, dlaczego nie miałyby go mieć?”

Wydaje się, że Conrad Korzeniowski trafnie ujął stosunek ludzi wychowanych w środowisku kulturalnym nie znającym zwyczaju Santa Claus do tej postaci. Ludzie ci stwierdzają i uznają zwyczaj, ale zwyczaj sam jest im uczuciowo daleki, obcy.

Jan Wępsięc

Właściwy lek

z właściwych rąk

APTEKA GRABOWSKIEGO

WYSYŁA WSZELKIE LEKARSTWA WSZĘDZIE

175, Draycott Avenue, London, S. W. 3. Tel. KEN 0750.



W PRYZMACIE KARYKATURY

Z GALERII OBRAZÓW W MUZEUM NARODOWYM W WARSZAWIE „Pałac Natoliński” Wincentego Kasprzyckiego



rok 1826



rok 1956

fotomontaż — W. Daszewski („Szpilki”, nr 44 z 4. XI. 1956)

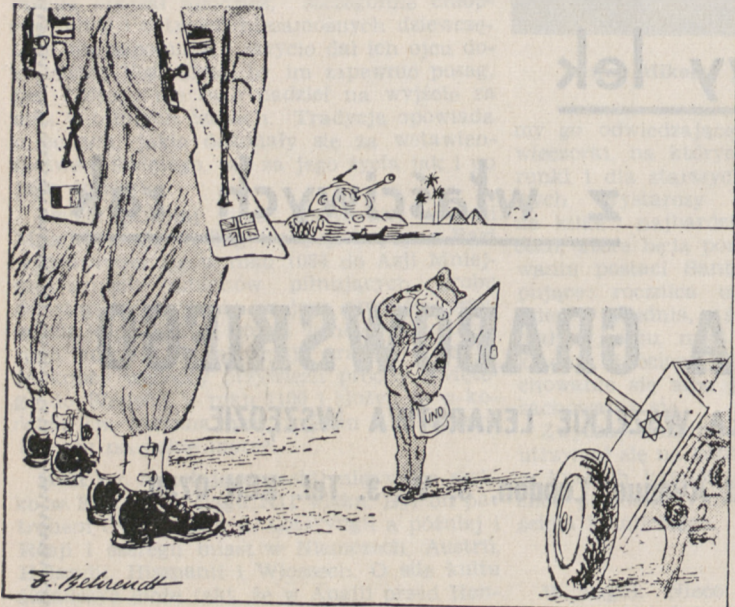


Carl Capra

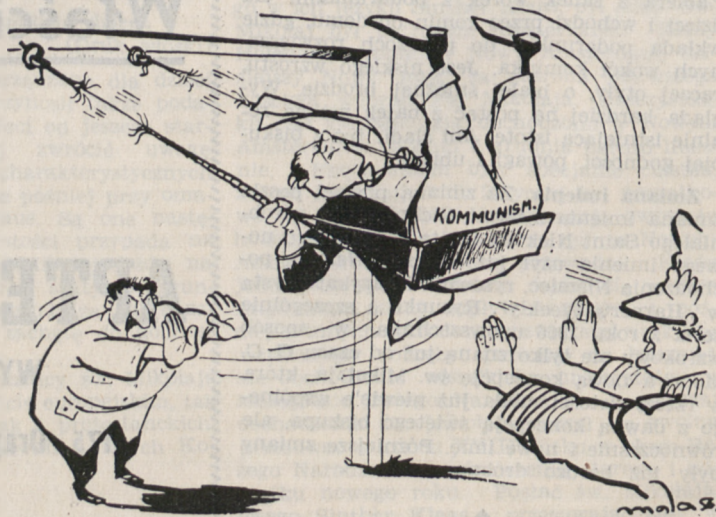
(Rysunek zaczerpnięty z „News from behind the Iron Curtain”)

ODPRAWA

DOPÓKI SZNUR WYTRZYMA...



(Rys. E. Behrendt, Amsterdam)



(Rys. Małachowski — Bull Press, Sztokholm)

ŚWIĘTY MARCIN, o dziwo, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów przyjechał tego roku na wyspę brytyjską na białym koniu. W Szkocji i Walii spadły śniegi, a parki londyńskie osiwały od szronu. Sadržawka na Hampsteadzie zamarzyła pozwalając na krótko zasmakować dzieciom angielskim jednej z powszednich rozkoszy dzieci polskich.

Ale święta Barbara była po wodzie, a i Boże Narodzenie nie będzie chyba po lodzie. Mróz i śnieg są nieczęstymi gośćmi na tej wyspie. Pojawiają się często tylko na kartkach świątecznych, idących o lepsze w fantastyczne pomysły ze słynnymi ilustracjami Johna Tenniel do „Ali w krainie czarów”.

Tacy już są ludzie na świecie: marzą o zimie, o zaspach i górach z lodu, ale nie dają Boże dwu, trzech dni mrozu, a wszystko się w tym kraju rozpręgnie: spóźnią się koleje, nie dojdzie mleko, braknie węgla, zaczną się choroby. A jednak za najpiękniejsze marzenie uważa się tu „białe Boże Narodzenie” i życzenia szczęścia wyraża się śnieżnymi krajobrazami.

O 1.250 km na wschód w linii powietrznej od Londynu, między 49°00' i 54°50' szerokości północnej oraz 14°06' a 24°08' (czasowo narzuconej granicy) długości wschodniej od Greenwich, zaczyna się granica państwa, w którym średnia temperatura roczna wynosi 7 stopni Celzjusza, a wahania jej dochodzą do 38 stopni ciepła w lecie i do 36 stopni mrozu w zimie. Amplituda temperatur skrajnych w tym kraju przekracza zatem 70 stopni Celzjusza. Wedle „Rocznika Statystycznego”, w stolicy tego chłodnego kraju, w Warszawie, w grudniu roku 1954 słońce nie świeciło ani przez jedną godzinę, a w ciągu całego stycznia tylko przez 10 godzin.

Trzeba się więc spodziewać, że w Polsce Boże Narodzenie będzie, jak zwykle, po lodzie, zwłaszcza, że tego roku biały płaszcz okrył naszą ziemię na długo przed świętym Marcinem. Dzieci, jak to dzieci, będą miały uciechę ze śniegu, z mrozu, ze ślizgawki. Tylko rodzice ich i starsi ludzie, smutni, będą się po staremu oszukiwać, że już „święta Łuca dnia przyrzuca”, że „na Boże Narodzenie przybywa dnia na kurze stąpienie, a na Nowy Rok na zajęczy skok”, i już w drugiej połowie stycznia, na świętą Agnieszkę, będą wygłądać wiosny. Mróz i śnieg jednak będą trzymać nasz kraj w twardym uścisku lodowej skorupy aż do marca, a nawet, wedle przysłowia, gdyby się Pasterka zdarzyła po wodzie. Wielkanoc może być po lodzie.

A więc nawet z fali ciepła na Boże Narodzenie, z odwilży, nie mogą się cieszyć ani starsi, ani dzieci. Przyroda dla naszego kraju niezbyt łaskawa.

Uczeni twierdzą jednak, że ludzkość buduje cywilizację jakby na wyzwaniu przyrody: im cięższy klimat i mniejsze bogactwa naturalne ziemi, tym naród ją zamieszkujący za-

PO LEPKACH GWIAZDKA PO WODZIE

wzięciej obmyśla sposoby, jakby ją sobie najlepiej uczynić poddaną. Polska przez dzieśnięcie wieków istnienia rozwinęła cywilizację, która dowiodła skuteczności opierania się srogości przyrody. Naród nasz nie poddaje się łatwo ani przyrodzie, ani narodom, które mu zagrażają. Wypraktykował skuteczne sposoby przetrzymywania zimy i najazdów.

Czy i nasze pokolenie, ściślej mówiąc, czy my żyjący dziś w wolnym świecie Polacy właściwie podejmujemy wyzwanie z woli Boga natury i losów? Czy umiemy znaleźć należyte sposoby, aby z serc naszych wyzwolić miłość, a z rąk wolę? Czy umiemy choć odrobinę ogrzać klimat naszej ziemi, poprawić jej trudne warunki, uradować choć na krótko, choćby tylko na gwiazdkę, najbliższych?

Autor tych słów spotykał przez parę ostatnich tygodni dziecko polskie, które przyjechało z Polski do rodziny w Anglii. W jego zachowaniu odbijała się cała dola narodu: małomówność i skupienie łączyło ze szczerym i pogodnym uśmiechem, skromność wymagań z marzeniami, wypowiedzianymi w imieniu swoim, braci, koleżanek. Niewielkie są marzenia dziecka polskiego z Kraju: trochę znaczków pocztowych dla braci, garść cukierków dla koleżanek szkolnych, koraliki dla siebie. Dziecko trzeba było ośmielać i dowieść, że znaczków, które mogą zaspokoić potrzeby dziesięcioletnich filatelistów, można w Anglii nazbierać garściami, że cudne koraliczki są po szylingu, a cukierki całkiem taniutki. („W Warszawie — wdychała Anusia — najtańszy cukierek kosztuje 10 groszy, ale nie wszędzie można je dostać”.)

Kiedy zachęczone dziecko wypowiedziało już wszystkie swoje marzenia, można było zauważyć, że jeszcze w głębi serduszka kryje jakąś skrytą tęsknotę.

— Co byś, Anus, jeszcze chciała zabrać na pamiątkę z Londynu?

— Ja nie mogę o nic prosić, bo to kosztuje.

— No powiedz, dziecko, śmiało!

— Proszę pana, moja najserdeczniejsza koleżanka w szkole nazywa się Ela Kowalska, choć my bardzo daleko od siebie mieszkamy.

— No, na rower jesteś jeszcze za mała.

— Nie, proszę pana, Ela, kiedy mnie odprowadzała do samolotu, szepnęła mi: Jeżeli be-

dziesz mogła, przywieź mi najmniejszą lalczkę, taką jak palec, ale żeby zamykała i otwierała oczka...

Nie, tego słuchać nie można! Autor tych słów przerwał rozmowę z Anusią i musiał udać, że go nagle zaatakował katar, taki, co się wylewa przez oczy.

Do Warszawy poleciał więc lalka, zamykająca oczka. Taniutka, za 3/6, od Woolwortha. Trochę większa od palca, ale nie wiele większa od dłoni. Ale da ona szczęścia nieznaną istotce mówiącej po polsku na najbliższą gwiazdkę i może na jeszcze dłużej! A może, może na całe życie pozostanie jej wspomnienie o precudnej przybyszce z krainy czarów?

Morał z tej sentymentalnej scenki jest chyba bardzo wymowny. Wydajemy trochę grosza na pozytywne i słuszne cele. Ale boją się nie na najważniejsze. Ileż szczęścia można by dać dzieciom w Polsce, gdyby choć co piątemu, dziesiątemu posłać taką lalkę od Woolwortha i na dodatek ciepłe ponczochoy czy tabliczkę czekolady na szóstaka!

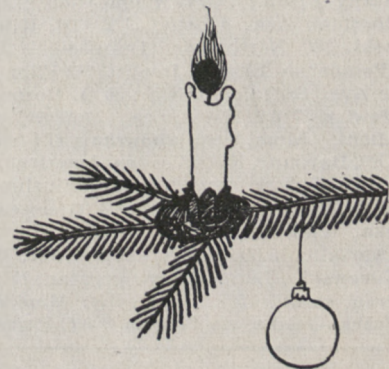
Kiedyś, na początku ery stalinowskiej w Polsce, do obozów uchodźców w Anglii zajechały limuzyny, a wystrojone panie rozdawały cukierki dzieciom „od dzieci w Polsce”. Nie okłamujmy się nadal tak potwornie! Wyznajmy sobie otwarcie chociaż to, że każde dziecko polskie w Anglii żyje w bajce w porównaniu ze smutnym losem dziatwy w ojczyźnie. To myśmy im, a nie one nam, winni wysłać kosze cukierków, puszek mleka i zabawek!

Więc na tegoroczną gwiazdkę, kiedy już serca i mózgi trochę odtajały, popatrzmy sobie szczerze w oczy z daleka: my stąd, z Londynu i Manchesteru i wy stamtąd, z Warszawy i Krakowa i pomyślimy, jak dać radość naszym dzieciom w Kraju. Na pewno, czy jesteście szczerze czy nieszczerze czerwoni, zaśpiewacie chociaż w tej godzinie razem z nami:

Podnieś rączkę, Boże Dziecię,
Błogosław Ojczyznę miłą!

Błogosław ją w szczęściu dzieci, w miłości rodziców i w naszej serdecznej pamięci o Kraju, gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie dla darów nieba.

J. B.





ZYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJO-KULTURALNY

ROK X Nr 52/53 (496/497)

Niedziele, 23-30 grudnia 1956 r.

Wydaje:

KATOLICKI OSRODEK WYDAWNICZY

„VERITAS”, — 12 Praed Mews, London, W.2.
Telefony: AMBassador 6879; PADDington 9734

Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt 3 - 4 pp. Redakcja rękopisów nie zwraca.

Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata (płatna z góry): miesięcznie: szyl. 4/6, dol. 0.75, fr. fr. 225; kwartalnie: szyl 13/-, dol. 2.00, fr. fr. 650; półroczn.: s. 26/-, dol. 4.00, fr. fr. 1.300.

Wpłaty: a) w krajach bloku szterlingowego: Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed“ (//); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji „Zycia“.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez 1 lam — £ 1, dol. 3.00, fr. fr. 1.000. Kolorowe 100% drożej.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca”, Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. Australia: „Spolem”, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A. Belgia: Mme E. Kulakowska, 129 Rue du Cornet, Bruxelles 4. Pren. kwart. 90 frs. Brazylia: Książnica Polska, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; ks. dr Antoni Łatka, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. Dania: Ks. O. J. Szymaszek, Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. Francja: Ks. K. Stolarek, 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CC 5 603 40. Holandia: B. Galas, Fagelstraat 15A, Breda. Kanada: Canadian Mosaic Publishers, Suite E, 4118 Western Ave., Montreal 6; International Book Service, 57 Queen Str. W., Toronto. Niemcy: St. Mikiciuk, Gablonzerstr. 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 8 DM. Norwegia: B. Lubiński, Kongesgat 2, Moss. Stany Zjedn.: „Gryf Publication”, 296 Sheridan Ave., Albany, N.Y.; M. Kijowski, 380 North Ave., Dunellen, N.J.; „Pomoc” — Ekspart-Import, 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y.; S. J. Rozmysłowicz, 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich.; Mme J. Stojanowska, 424 Ave. „E”, Bayonne, N.J.; Veritas Americana, 134-09 Cherry Ave., Apt. 3B, Flushing 55, N.Y. Szwajcaria: Mme B. Gierszewska, Wallisellenstr. 483, Zurich. Pren. kwartalna 5.00 fr. Szwecja: Mgr. B. Kurowski, Lund, Revlingegatan 13B. Pren. kwart. 10 krs. Włochy: Mme Z. Bulhak-Jelska, via Salaria 300 C Roma.

JEDENASTY ROCZNIK ŻYCIA

Z numerem bieżącym dobiega końca jeszcze jeden rok wydawniczy polskiego tygodnika katolickiego na uchodźstwie. Następnym numerem ZYCIA ukaże się z datą (obecny numer jest numerem podwójnym na 23 i 30 grudnia) — 6 stycznia i rozpocznie jedenasty rocznik naszego pisma.

Przed kilku miesiącami, ze względów, które były omawiane, zmieniliśmy bardzo znacznie zewnętrzne, graficzne cechy ZYCIA, wychodzącego przedtem w wielkim „plachtowym” formacie. Pozostawiając ten sam charakter założeń i celu pisma, zmieniliśmy jego typ wydawniczy, aby przystosowaniem formy graficznej do większej komunikatywności rozszerzyć i zakres tematyczny pisma i zakres czytelniczy.

Na początku września ogłosiliśmy, że najbliższe cztery miesiące przeznaczamy na okres próbny i eksperymentalny, aby od 1 stycznia 1957 r. wyjść już z ustalonym typem pisma. Okazało się, że właśnie w tym okresie rozgrywać się zaczęły niecodzienne, pasjonujące, kto wie, czy nie przełomowe, wypadki w Polsce, na Węgrzech i dalej w świecie, wymagające od prasy specjalnie czujnej postawy. Tak więc okres, który wyznaczaliśmy sobie jako okres próbny — okazał się nadspodziewanie trudny. Do czytelników należy ocena jak ZYCIE wyszło z tej próby.

Po tym wstępie przechodzimy do elementów czysto redakcyjnych. Poruszymy tu jedynie trzy. A więc na początek, owe wypadki. Grupa ludzi, która wydaje ZYCIE, wychodzi z bardzo wyraźnych, katolickich założeń światopoglądowych i moralnych, usiłując — jak na katolików przystało — wyznaczyć myślenie, pracy umysłu ludzkiego, bardzo ważne miejsce w kształtowaniu wszelkich zjawisk życia. Stąd ostatnie wypadki przyjmowane były w piśmie nie według schematycznych nałogów myślowych, ale myślą otwartą i aktywną. Wychodzimy z założenia, że choć zasady i podstawy są niezienne, to formy ich stosowania muszą być ciągle nowe. — Drugim elementem redakcyjnym, który powinien być tu uwypuklony, jest nasze uparte dążenie docierania do czytelnika wbrew narastającej obojętności i zmęczeniu emigracyjnej

mu i zainteresowanie go tym, co się obecnie w świecie rozgrywa i co — naszym zdaniem — wcale nie daje powodu do pesymistycznych przewidywań. — Wreszcie trzeci element to zajmowanie stanowiska w wielu sprawach kontrowersyjnych, naświetlanie wielu zjawisk polskiego życia emigracyjnego, które nie zawsze tak się układają, jak się układają dla dobra Kościoła i Polski powinny. Natworzyło nam to trochę wrogów i niechętnych, z koń bonzów i magów emigracyjnych, ale jesteśmy zdania, że prasa nie jest po to, aby trzaskała w obcas i słuchała dyktatu prezesów, ministrów i generałów.

Na pewno zresztą wielokrotnie większą ilość zdobyliśmy w tym czasie nowych przyjaciół. Nigdy ZYCIE nie otrzymywało tylu listów, ile otrzymuje od września. Nigdy nie napływało tyle artykułów, notatek, informacji, zachęty i rad życiowych, ile przychodzi teraz. Wydawniczo — również reakcją była korzyść. W chwili bieżącej jest nieco ponad dwukrotna ilość płatnych odbiorców w porównaniu ze stanem z 1 września bieżącego roku.

Przechodząc do tych spraw materialnych, trzeba zauważyć, że to zdwojenie się liczby odbiorców nie daje jeszcze całkowitej równowagi finansowej piśmie. Dopiero trzykrotna ilość w stosunku do stanu z września rozwiąże wszystkie trudności.

Od 1 stycznia 1957 roku wprowadzamy również w życie zapowiedziany we wrześniu konieczny zabieg finansowy, w postaci podwyższenia ceny numeru i ceny prenumeraty. Pojedynczy numer będzie kosztował obecnie 1/6 szyl., dol. 0.25, franków fr. 75.

Poniżej podajemy tabelę z cenami prenumeraty ZYCIA, jakie obowiązują od 1 stycznia 1957 roku. Przedkładając je naszym Przyjaciołom i Czytelnikom, prosimy ich gorąco, by zechcieli propagować ZYCIE w jak najszerszym gronie znajomych. Doznawszy tylu dowodów życzliwości w naszym okresie próbnym, sądzimy, iż nie zabraknie nam ich i teraz, kiedy Wydawnictwo wchodzi w okres pełnej intensywności pracy nad piśmie, aby było ono wyrazem wiary, myśli i woli tej części emigracji, która buntuje się przeciw bierności, wierząc w lepszą przyszłość.

Dość duża ilość osób z krajów pozaeuropejskich zgłasza się o przysyłanie pisma drogą lotniczą. Jest to — w dotychczasowych warunkach — wysyłka dość kosztowna, gdyż cały nakład ZYCIA drukowany jest na jednakowym stosunkowo ciężkim papierze. Gdyby wszakże zamówienia na wysyłkę lotniczą napływały w dalszym ciągu i zebrała się ich znaczna ilość, przystąpilibyśmy do drukowania części nakładu na papierze lotniczym, co pozwoliłoby obniżyć cenę przesyłki lotniczej do 6 - 8 pensów (10 centów, 25-30 franków franc.).

CENY PRENUMERATY „ZYCIA” OD 1 STYCZNIA 1957

(z opakowaniem i przesyłką zwykłą):

	Egzempl. pojed.	Mie- siecz.	Kwart.	Pół- rocznie	Rocz- nie
Wielka Brytania i kraje bloku szterlingowego	£ 1/6	6/6	19/6	39/-	78/-
USA i Kanada	\$ 0.25	1.10	3.00	6.00	12.00
Francja	Frs. 75	330	975	1950	3900
Belgia	FBC, 10	45	130	260	520
Holandia	Hfl. 0.80	3.50	10.40	20.80	41.60
Dania	Kr. 1.50	6.50	19.50	39.00	78.00
Szwecja	Kr. 0.75	3.30	9.75	19.50	39.00
Szwajcaria	Fc. 0.75	3.00	9.00	18.00	36.00
Norwegia	Kr. 1.65	7.20	21.45	42.90	85.00
Austria	Schg. 5.50	24.00	71.50	143.00	286.00
Niemcy	DM 0.90	3.50	10.00	20.00	40.00
Hiszpania	Pes. 0.10	0.45	1.30	2.60	5.20
Włochy	Lir 140	610	1820	3640	7280

Argentyna, Brazylia i inne kraje

Ameryki Połudn.:

równowartość waluty szterlingowej (£)

WYDAWNICTWO „ZYCIA”